





A-40379

48279

WSZELKIE PRAWA ZASTREŻONE

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-40379



001-0048279--00

ODBITO W DRUKARNI „PRASA” WE LWOWIE

401-

~~Wojewodzianki~~
BIBLIOTEKA

L. _____

Ta książka jest spowiedzią dziewczątek z różnych czasów i lat życia polskiego od schyłku stulecia rokoko aż po wiek XIX. Od wojewodzianki Honoraty Stempkowskiej do Heleny Modrzejewskiej opowiedzą tu panienki dzieje swej młodości, historję panięskich wrażeń, dziewczęcych utrud i tradycyj. Więć sztambuch jedyny w swoim rodzaju: historja epoki, widziana i oglądana oczętami dziewczątek, a przeto ogromnie znamienna, bo jest to uroczysta „mistrzyni życia“, która sądzi błędy przeszłości. Nie będą tu mówić pamiętnikarze starzy i stetryczali, jeno panienki! Przeróżne: zapłnione rumieńcem i życia ciekawe, płaczące, albo dumne, znękanie bolem i tęsknotą, zakochane we wieszczach i jeneralach, oglądające zbliiska wielkie fakty dziejowe. Dzieli te zwierzenia cała przepaść różnicy, taka sama, jak oddziela wiek XVIII i XIX. Różnice rzucają się w oczy. Porównajcie wojewodziankę z dziewczątkiem styczniowem, albo siostrzenicę ks. Józefa, z ową szczęśliwą danserką, która z Arturem Grotgerem pierwszego mazura tańczyła, i uczcie się przeszłości na tych zwierzeniach lepiej, jaśniej i plastyczniej, niż z najmędrszych podręczników!

Stanisław Wasylewski.

We Lwowie, 19 sierpnia 1920.

~~Wojewódzka Biblioteka~~
BIBLIOTEKA

L. 2525

Wojewodzianka zakochała się najmocniej w księciu, nie bacząc wcale, że ten afekt zdronny. Bo ksiązę jest żonaty, a przytem miłości niegodzien, jako człek najgorszej sławy. Ale jako poradzić zachceniom serca? Wojewodzianka miłuje bez pamięci, choć „wontpi“, choć myśli nieraz, że „on tam ma insze“. W sekrecie przed ojcem dobrodziejem i panią matką szle mu listy najczulsze i mokre od łez. Zaklina, aby je palił natychmiast, ale „szalbierz niewdzięczny“ zapomniat snać rzucić w kominek grzeszne epistoły. I tylko dlatego wiemy dziś, jak Honorata Stempkowska miłowała i tęskniła.

LIST I.

Och! Duszo moja kochana! List twój i wiersze tyle mnie ucieszyły, żebym w ten moment życie rada skończyć w tak szczęśliwym dla mnie momencie. O jakbym była rada, ażebym to z ust twoich mogła ten wyraz usłyszeć!... Ale bardzo wątpię, bo nie sądzę się być tak szczęśliwą nietylko teraz ale i w życiu mojem.

O gdybym cię mogła w ten moment widzieć nie umiałabym ci tyle podziękowania oświadczyć, ile wewnątrz mnie.

A byle to tylko prawda była! Bądź pewien, że cię Kocham równo z życiem mojem! Nie mogę więcej pisać, bo po mnie moja matka przysłała, ale cię całuję serdecznie i czekam.

H. S.

LIST II.

Mój księżu! Ten list trochę mi nadziei uczynił, a kto wie może się i na tem myśle?!... Bardzo mi tu przykro, ale cóż? Tym sobie perswaduję, że w Warszawie dosyć księciu wesoło być musi. Byli tu księżęta w niedzielę to jest dwudziestego czwartego, ten dzień najlepiej pamiętam, bom była pewna, że, co księżę obiecał, to dotrzyma. Ale coś to w wielu rzeczach em się omyliła to i łatwo przychodzi. Dobre dwie mile od Werkowicz ale przecie się można dowiedzieć wiele rzeczy ciekawych. W niedzielę tańce byli alem ja nie tańczyła żadnego tańcu. Rozkaz księcia bardzo zachowuję i donoszę o wszystkim co czynię. Wczoraj zaraz po kolacji szłam do siebie spać i rejentowicz mnie odprowadzał ale że Gostwicki tylko co wyszedł i my szli za Gostwickim i tego lokaj szedł z nami. Za przysłany dla mnie szewiot i inne rzeczy bardzo pięknie dziękuję. Zadziwia mnie to. Przy tylu interesach i o tem pamiętać, bardzo jest wielka łaska księcia. Bardzo proszę W. X. mości, ażeby listy odemnie pisane byli popalone! Policzyć i napisać wiele księżu odebrał także proszę księcia. Jesliby tu nas nie zastał w Werkowiczach to do Łabunia przyjechać bo my mamy we czwartek wyjeżdżać. Ale może się to jeszcze odmieni, mój ojciec już wstał ale jeszcze z pokoju nie wychodzi. A teraz oddaję mnie jego szacownej łasce i przyjaźni równej

w oczy i po za oczy i oczekuję niecierpliwie przyjazdu, któren nie łatwy z Warszawy.

H. Stempkowska.

LIST III.

Oj, szalbierzu, a godzi się tak mnie chcieć oszukać o bilety i o różne rzeczy? Ale ci się nie uda i nie będzie się udawać. Tu dziś niema nikogo tylko Litwiński, ale dziś dali znać książęta z Równego, że jutro na obiad będą. Zapewne Józef, Michał i Aleksander. Nie wiem jak długo się zabawią tu. Wiem, że polować będą i na tem polowaniu ma być i żona twoja z Szyrkową i Sierpska kasztelanowa. O sobie niewiem, ale nie zechcę być bez ciebie, moja duszo... Moich rodziców niema. Odjechali dziś oboje, ale albo jutro, albo we czwartek powrócą. A teraz kończę i proszę bardzo się nie umizgać, bo będziesz żałował, bo drugiej tak wiernej nie będziesz miał jak ja i tak cierpliwej.

Proszę cię przyjeżdżaj na święta, na ten dowód, ażebyś mi te imaginacje, co mam wykorzenił, bo się coraz bardziej utwierdzą, a już mi cierpliwości nie staje! Winszuję miłych zabaw warszawskich, ale nie żądroszczę, bo ja lubię rzeczy trwałe i wierne... ale nie momentalne. *Adieux!* Bywaj zdrów!

Rzeczy z przymusu nie są nigdy dobre. Kiedy sam nie dbasz, ażebyś tu był, to ja się nie będę naprzykrzała!... Obaczę kiedy też przyjedziesz! *Adieux!* *Je vous baise mille fois. Je suis constante et je vous aime plus que vous méritez ca et bien sur.*

H. Stempkowska.

Ten bilet pisany o godzinie ósmej we wtorek wieczór. Dziś wielem do ciebie pisała, o nikogo nie dbam tylko o ciebie.

LIST IV.

Mój księżę ukochany i w życiu najpierwszy!

Ten list jest pisany dnia trzeciego aprila to jest we środę po obiedzie. O mój Boże! cobym ja dała za to, ażebyś tę wiadomość miała o tobie a pewną, że będziesz na świętach; rozumiałabym w ten moment, że mi już niewiele rzeczy brak do mego uszczęśliwienia na świecie. I życzę sobie widzieć cię i lękam się, bo może nie będziesz już w tej myśli ze mną witać się jakieś odjeżdżał odemnie. Oj! okropny był ten moment dla mnie, w którym bym doświadczała tego, co jest czasem w myśli mojej, coś radabym z całego serca być uspokojoną na zapewnienia, które mi wyraziłeś w listach twoich, ale w tym punkcie nie sądzę się być panią swoich myśli ażebyś je mogła mieć takie, jak sobie życzę i kierować niemi tak, ażeby też przyłączały w ten sposób, jak do mnie pisujesz. Upewniam cię, że mnie tu nic nie bawi bez ciebie. Wszystkie zabawy są goryczą wystawiwszy sobie, że tej osoby niema, która mnie przytomnością swoją cieszy. Prawdziwie wielki post w umartwieniu wielkiem kończę przez nieprzytomność twoją i przez wiadomości i przez wiele rzeczy, których przez żalność ci ani opisać ani wymówić z trudnością by mi przyszło. Tego się jeszcze obawiam, ażeby święta nie były takie dla mnie jak wielki tydzień, bo mi tak objęła się o moje uszy, że nie będziesz na święta i już też by mnie Pan Bóg martwił długo i wiele.

I rozumiałabym, że mi się trza uspokoić na tym, że Bóg nigdy tak nie da jak sobie życzę. Moich rodziców jeszcze niema i wątpię żeby dziś byli, chyba jutro we wtorek lub we środę przyszlą. Do Zabunia mamy jechać jak słyhać tu, ale niewiem pewnie.

Czekam cię jak najprędzej na święta! Mam w Bogu nadzieję, że będziesz!... *Adieux!* Bądź pewny, że się z nikim nie wdaję ani będę wdawać, i będę zawsze stateczna dla ciebie *mon ami jusqu'à ma vie*

H. S.

LIST V.

Donoszę ci moja duszo kochana, że dziś wielki piątek. Moja matka z Sierpską kasztelanową pojechały do Dubna, bo wczoraj żona twoja przysyłała umyślnego do Sierpskiej z biletem, prosząc ją bardzo, ażeby dziś z moją matką choć na godzinę przyjechała; ale dziś na noc powrócą. Michał wczoraj do Dubna pojechał, a Józef z niemi dziś pojechał i ma się z niemi powrócić. Ja cię bardzo o tę łaskę proszę, ażebyś mnie nie zwodził tym swoim przyjazdem, bo wiem pewnie, że na święta nie będziesz; to nie wiem jak można pisać, że w krótkim czasie! Mnie ten czas będzie się zdawał bardzo długi. Te wiersze mnie *extra* cieszą, ale cóż? może że to czynisz, aby też czemkolwiek mnie uspokoić.

Mon coeur proszę cię, staraj się a nie siedź w tej Warszawie przebrzydłej, ja wiem, że jak przyjedziesz po świętach, to znów interes wymyślisz i nazad do Warszawy. Niech ci Bóg nie pamięta! Wiem, że święta będziesz miał wesołe, a ja może bardzo smutne, chyba się będę z twojej pomyślności cieszyć, co

będziesz miał w Warszawie. Ale na co mnie zwodzić, za co mi nie było napisać, że na święta nie będę już? A to aby tylko mnie bardziej w złość wprowadzić. O! mój Boże! raz mnie pocieszysz, a drugi raz szukasz sposobów zmartwić. Czekam przyjazdu ale niewiem kiedy to będzie: czy za rok czy też za mniej, bo tego niewiem. *Je vous baise moi, je vous aime et cela sera alors.* H. S.

LIST VI.

Encore je vous prie revenez dont de cette vilaine Varsovie et ne me faites pas de mauvaise pensée comme je pense à présent. Pour l'amour de Dieu vous méprenez mais sentez que mon bonheur dépende de vous, mais je vous aime autant et vous me trompez! Oh! que je suis malheureuse et encore ce que j'attends que vous dites que vous n'aimez point et vous restez à Varsovie et je crois que a vrai si vous avez un peu d'amour pour moi, venez dans ces jours me senpartir encore une fois pour Varsovie — Ah! que je suis malheureuse femme au monde. Adieu je vous aime!

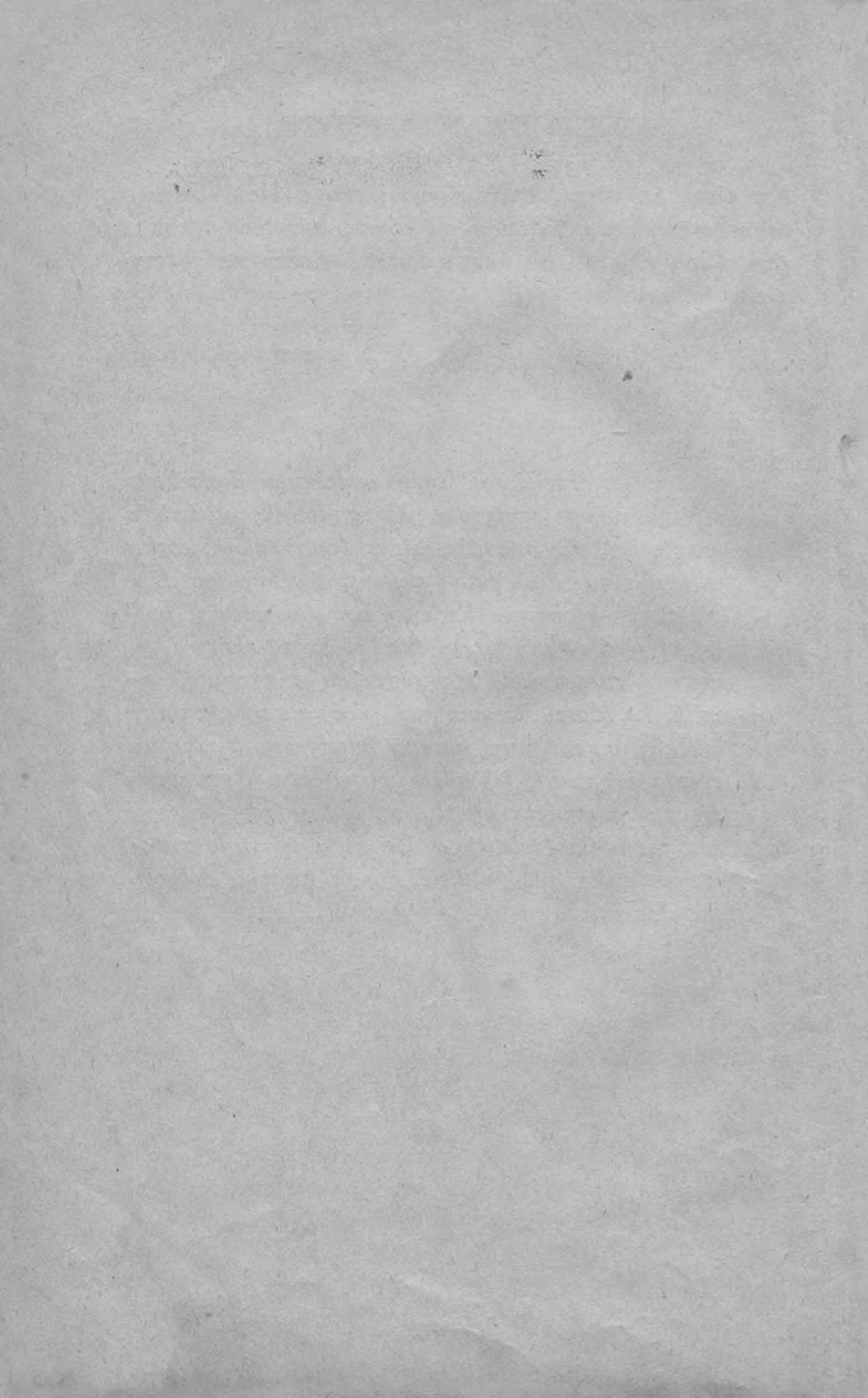
Kochałam ciebie i kocham ale mi tak nigdy nie było przykro jak teraz. Ach! co mówią na ciebie! o mój Boże, i listami mnie zbywasz, nie wolisz że prawdę mi powiedzieć? Może tam masz insze? Napisz! powiedz mi, a niech będę uspokojona, a niech tego czyśca nie cierpię! ach przyjeżdżaj *si vous m'aimez...*

O mój Boże! jakie masz dla mnie serce twarde. Ja bym życia połowę umniejszyła, ażebym tam była gdzie ty jesteś, a ty niedbasz. Nieszczęśliwa ja jestem, doznaję umartwienia, dziwię się sama sobie... Pamiętaj co czynisz, pamiętaj!! Przyjeżdżaj, proszę; ostatni,

list piszę!!... niewdzięczny jesteś mego afektu wiem że o to niedbasz. Kocham cię równo z życiem moim, duszo moja, jeżeli nie przyjedziesz więcej mej litery nie zobaczysz.

H. S. nieszczęśliwa.

„Nieszczęśliwa“ wojewodzianka doczekała się marzonego szczęścia. Xiążę nietylko na święta przyjechał, ale rozwiódł się z żoną swoją, córką generała austriackiego i pojął w małżeństwo drugie pannę Honoratę. Lecz że był obwiesiem i hultajem nad hultajami, że łupił ludzi ze skóry i ojczyznę sprzedawał ten wyrodek znakomitej familii, ks. Marcin Lubomirski, więc nie zaznała z nim wielkiej pomyślności panna Honorata i wkrótce zgasły promienie jej wielkiego afektu. Rozwiodła się z nim potem i wyszła za Załuskiego, a trzeci raz poślubiła Igelstroma. Co się dalej stało z wojewodzianką, nie pytajcie, bo się niczego dobrego nie dowiecie.



~~Wydawnictwo Literackie~~

BIBLIOTEKA

L. _____

JAKĄ JESTEM,
CZYLI PORTRET WŁASNY SAWANTKI
(1781)

Ująć w rączkę perfumowaną wielkie pióro-
gęsie i wysokimi literkami nakreślić portret wła-
sny na papierze o złotonych rąbkach — było
najmilszym „jeu d'esprit“ panienki w wieku oświe-
cenia. Było w każdym razie rzeczą modną. Po-
tem czytało się napisany portret na asamblach
i ofiarowywało przyjaciółkom na pamiątkę. Nie-
tylko młode panienki, także mężatki, senatorowie
i król Jegomość portretowali się na wyścigi. Brak
nam takiej panińskiej miniatury, musi wystar-
czyć mężatka i to 37-letnia. Ale osoba niepospo-
lita, bo królowa sawantek i dam uczonych
w XVIII. wieku, ks. Izabella Czartoryska.

Portret jest, rzecz prosta, nieco „en beau“
ujęty, ale któż się tem zdziwi?

W świecie często o mnie mówiono, ale jedni
patrzali na mnie za nadto z blizka, drudzy za nadto
z daleka, i dla tego rzadko kiedy widziano mnie
taką, jaką jestem w istocie. — Nieraz mężczyźni uno-
sili się nad mymi zaletami, kiedy kobiety sądziły mnie
zbyt surowo. Przyjaźń zamykała oczy na moje wady,
a zawiść korzystała z każdej zręczności oczernienia
mnie; co zaś do obojętnych, ci powtarzali jedno lub

drugie, nie troszcząc się wcale o to, co mogło być prawdziwem. — Z góry wypada mi wyznać, że na szali losów moich i moich powodzeń przeważało szczęście, a jeżeli przyznanie się do tych powodzeń może mieć pozór próżności, to zapieranie się ich byłoby niezawodnie obłudą.

Doszedłszy lat, w których już każdy ocenić siebie może, chcę też powiedzieć co o sobie myślę; jeżeli mię zaślepiła miłość własna, daję prawo przyjaźni wymazać to, co tu dla niej jedynie piszę.

Piękną nigdy nie byłam, ale często bywałam ładną; mam piękne oczy, a że się w nich wszystkie uczucia mej duszy malują, wyraz twarzy mojej bywa zajmujący. — Płeć mam dość białą, aby przy rumieńcu mogła mieć nieco blasku; czoło gładkie twarzy nie szpeci; nos ani brzydki, ani piękny, musiał być takim jakim jest, dla dopełnienia rysów moich. — Usta mam duże, zęby białe, uśmiech miły i ładny ował twarzy. — Włosów posiadam dosyć, aby niemi z łatwością ubrać moją głowę; są ciemnego jak i brew koloru. — Raczej słuszną jestem niż małą, kibić mam wysmukłą, gors może za chudy, rękę brzydką, ale zato nóżkę prześliczną i wiele wdzięku w ruchach. — Twarz moja podobna w tem do umysłu; największy obojga powab zależał na zręczności, z jaką umiałam podnosić ich wartość. — W młodości bardzo byłam zalotną, jestem nią mniej z dniem każdym, chociaż płeć moja niewieścia jeszcze mi przypomina czasem, że podobanie się ma wielki w sobie urok.

Zaniedbane wychowanie nie ostudziło wrodzonej mi popędliwości; ale pragnienie być kochaną przez wszystko co mię otacza, uleczają mię powoli

z tej wady. — Przyniosłam z sobą na świat wiele miłości własnej, a głośnie powodzenie i odbierane hołdy nie mogły jej zmniejszyć; ale rzadki takt wrodzony był moją obroną i nie dozwalał mi nigdy narażać się, kiedy nie byłam pewną zwycięstwa. — Tenże sam takt kierował mną zawsze, tak żem rzadko uczyniła krok, któryby się nie podobał, lub żywego nie obudził zajęcia. — Przyznaję się z całą szczerością do moich wad i wcale ich usprawiedliwiać nie myślę. — Złym humorem podlegałam łatwo i może byłabym skłonniejszą jeszcze do nich, gdybym mniej powodzenia na świecie doznała; i dziś jeszcze nie zupełnie jestem od nich wolną, mam jednak nadzieję, że się całkiem z tej wady poprawię, kiedy się do niej przyznaję tak szczerze.

Uczucia moje są prawdziwe; przyjaźń dla ukochanych żywa, czuła i niezmienna. — Nikt obcy, ani żadna okoliczność nie jest w stanie zachwiać mego ku nim zaufania; serce moje nigdy się nie zachwiało w tem uczuciu, mogącem jedynie szczęście nasze ustalić. — Przyjaciół moich stawiam zawsze wyżej ponad siebie samą i nie podejrzewam ich nigdy, — bo ufna jestem bez granic. Nic nie jest w stanie zmienić przekonania o tych, których kocham, i serce moje nie oddala się od nich chyba zmuszone ciągle szeregiem krzywd zadawanych, lub niewdzięcznością bez przerwy. — Jestem dobrą matką i nigdy cienia najmniejszego zarzutu uczynić sobie nie miałam powodu, co do niezachwianej miłości mojej dla dzieci. — Umysł mój z natury widzi jasno, ile razy mogę się zastanowić i mam czas po temu, ale pierwszy popęd unosi mnie niekiedy. Nie upieram się długo, choć w pierwszej

chwili mocno obstaję przy swoim. — Mam pewne ukształcenie, nie tak wielkie jednak jak zdawać się może tym, co mnie słyszą mówiącą. — Posiadam kilka talentów uprzyjemniających życie, ale żadnego w wysokim stopniu. — Tenże sam takt, który mi pozwala odezwać się w porę, posługuje mi we wszystkim. — Nie wiele mam pamięci, ale dosyć wrodzonego gustu, a nabyłam go więcej jeszcze w towarzystwie ludzi, z którymi żyłam. — Chociaż wesoła z natury, żywo przejmuję się każdym smutkiem. Podobam się łatwo, bo nie jestem wymagająca, i wolę milczeć niż ganić cokolwiek. — Brzydzą się obmową i nie szydę z nikogo. — Nie żyłam nigdy wśród martwej obojętności, ale szala szczęścia przeważała zawsze w mych losach, z rozkoszą zaś przychodzi mi dodać, że to mężowi memu i dzieciom przede wszystkim zawdzięczam. — Stosunki ze mną są pewne i nigdy niczyjogo nie zawiodłam zaufania. — Rozrzewniam się z łatwością, a serce moje nie zna nienawiści; zmuszona do niej prędko się nią umęczam jak prawdziwym ciężarem i rychło zastępuję niepamięcią i obojętnością zupełną. Niecierpliwę się łatwo, ale też prędko staję się panią tego poruszenia. — Przyznaję, że jestem zręczną, ale nigdy w podejściu; jestem czynną i lubię być zatrudnioną. — Na kobietę mam dosyć odwagi i nie tracę głowy wśród kłopotów i niebezpieczeństw. — Nie mam pychy, ani ambicji, ale nie znoszę żadnego rodzaju upokorzenia. — Panującym we mnie uczuciem jest miłość ojczyzny; z nią związałam całą przyszłość, jaką założyłam sobie; mąż, dzieci, własne uczucia moje i charakter tak mi ten przedmiot, tę niemal religię

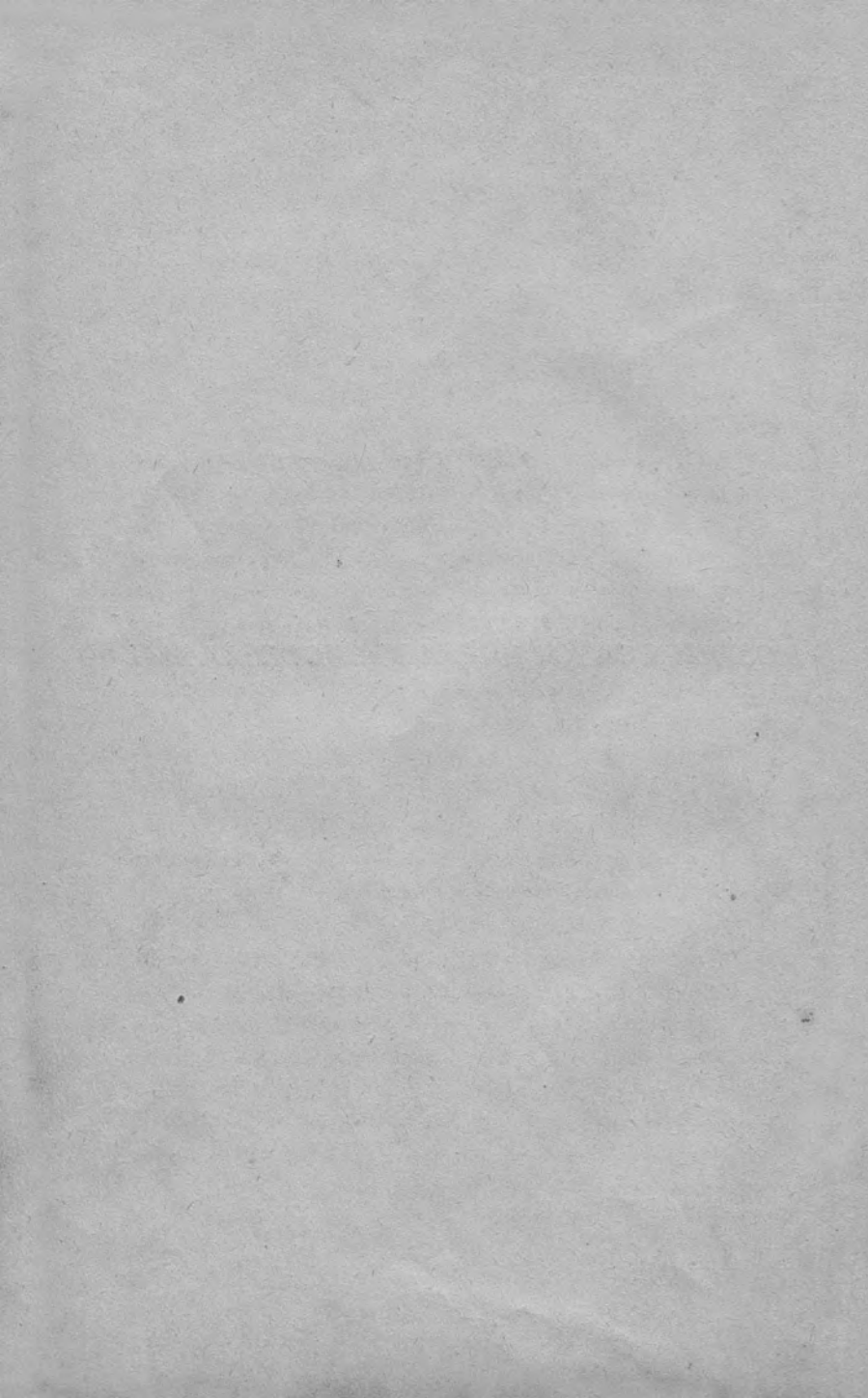
czynią niezbędną i drogą, że nic mię od niej oderwać nie zdoła.

Oto co widzę w sobie i czem jestem, ile mi się zdaje. — Mało komu ta spowiedź dostanie się do ręki; powierzona przyjaźni chętnie ulegnie wszelkim zmianom; niech przyjaźń dodaje, lub przekreśla co się jej podoba. — Jeżeli przyjaciele dostrzegą prawdę w tym portrecie, ich uznanie podniesie w mych oczach zalety moje, a doda mi gorliwości w pozbywaniu się wad moich.

Pisałam w Puławach w 37 r. życia (r. 1781).

Elżbieta Czartoryska.

SIOSTRZENICA KS. JÓZEFA WYCHODZI ZA MAŻ
(1802)



A teraz dziewczątko empirowe, jeśli tak rzecz można. Siostrzenica ks. Józefa, która do króla Stasia mówiła filuternie: dziadziu, a do Napoleona z nabożeństwem: Sire! Potem wyrośnie z niej mądra, piękna i zalotna pani Anna z Tyszkiewiczów Potocka, 2-o voto Wąsowiczowa — teraz (1802) ma rok dwudziesty i po raz pierwszy za mąż wychodzi za człowieka, który widział Napoleona.

Byłam jedynaczką, dziedziczką wielkiej fortuny, miałam dobre nazwisko, miłą twarz, staranne wychowanie. Jednym słowem byłam tem, co się zwykło nazywać *une bonne partie*. Matka moja (Konstancja z Poniatowskich Tyszkiewiczowa) była siostrzenicą ostatniego naszego króla. Szlachetna postać Stanisława Augusta, jego wzrok łagodnie melancholijny, srebrzyste włosy i piękna, nieco perfumowana ręka, stoją mi żywo w pamięci. Już w 14-tym roku życia chciano mię wydać za ks. Stanisława Poniatowskiego brata mojej matki, który miał prawie lat pięćdziesiąt i był wysoki, chudy i uroczysty. Ani słyszeć nie chciałam o tym marjażu, o klejnotach i posagu.

Mateczka moja zajmowała się gorliwie moim wykształceniem. Lekcje odbywały się zawsze w jej pokoju, niektórych ona sama mi udzielała. Ale ja byłam obojętna na wszystko, co się nie odnosiło do wyobraźni lub do sztuki, a tylko rysowałam całymimi dniami. Przeczytawszy Iliadę w trzynastym roku życia, nie chciałam już słyszeć o innych książkach. Matka moja niepokoiła się tem, była ona bowiem osobą poważną i chłodną, a nasze charaktery tworzyły uderzające przeciwieństwo. Pani matka potępiała także pustą wesołość, zamiłowanie do świata i stroju. Taiłam przed nią tysiące drobnostek, a jednak nigdy nie umiałam udać, ani ukryć swoich wrażeń i popełniałam wiele błędów przez zbytek szczerości. Wychowywałam się sama jedna, rozmawiałam tylko ze starymi przyjaciółmi, mimo to wesołość moja była niewyczerpana. Dawano mi same dobre przykłady, czytywałam poważne książki, opowiadano w mojej obecności tylko o rzeczach, które mogłam zrozumieć, a jednak odgadywałam prawie zawsze to, co chciano przedemną ukryć.

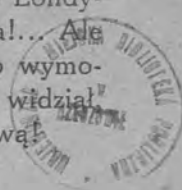
Umysł mój i serce, niewiem sama dobrze wskutek czego, przepelniała jakaś egzaltacja, podsycana czytaniem wielkich poetów, czego nie można mi było zabronić. Pragnęłam bohaterów, jak Racine'owscy, i rycerzy, podobnych do Tankreda, — wymagałam namiętności głębokich, sympatyj nagłych, wielkich i wzniosłych czynów!... Czekałam!... Ale gdy spostrzegłam wreszcie, że nie zjawia się ani Brytanik, ani Gonzalw z Kordowy, kiedy nie było nawet prawdopodobieństwa, żebym spotkała Grandissona, zstąpiłam wreszcie z obłoków i ze smutkiem myślałam, że

będę musiała wyjść za mąż z rozsądku i konwensansu.

Rodzicom moim proponowano rozmaite partje. Jedne nie podobały im się, gdyż nie były dość świetne; inne mnie się wydawały niemożliwymi, gdyż były niezbyt powabne. W końcu jednak oświadczył się pan Aleksander Potocki, a ponieważ i on był jednym z pierwszych konkurentów w Polsce, przyjęto go bez wahania; rodzice nasi załatwili wszystko piśmiennie, i kiedy Potocki przyjechał do Białego-stoku, wiedział z góry, że mu nie odmówię.

Mam jeszcze żywo w pamięci chwilę, kiedy powóz jego wjechał w główny dziedziniec. Był to wieczór kwietniowy; z powodu kataru zabroniono ni wychodzić z pokoju. Trąbka pocztowa zwróciła moją uwagę, pobiegłam do okna i spostrzegłam młodzieńca, wyskakującego z wielkim wdziękiem z karetki podróźnej i wchodzącego szybko na stopnie ganku. Powiedziałam sobie natychmiast, że to może być tylko oczekiwany podróźny. Wzruszenie, jakiego doznawałam, było bardzo zbliżone do strachu... Czegożbym nie dała, aby do jutra odłożyć to pierwsze widzenie się! Ale nikt mnie o radę nie pytał i zobaczyłam moją matkę, wchodzącą pod rękę z Potockim.

Mój konkurent wracał z długiej podróży; było to przedmiotem rozmowy podczas pierwszej wizyty. Opowiadał nam rzeczy bardzo zajmujące o Londynie, Paryżu... widział wielkiego Napoleona!... Ale zauważyłam, że w tej mierze nie był bardzo wymownym; opowiadał bez zapału o tem, co widział, i wcale nie wydawał się olśnionym taką sławą.



Podano herbatę; obserwowaliśmy się wzajemnie; Potocki widział mnie, kiedy byłam bardzo mała, u mojej matki. Przypominam go sobie; zrobił wtedy na mnie wrażenie pogardliwego paniczyka, który nie lubi rozmawiać z dziewczátkami.

Spotkaliśmy się powtórnie w tym szczęśliwym wieku, kiedy czas, dołożywszy ostatniej ręki do swego dzieła, jakby się zatrzymuje, chcąc niby nacieszyć się nim ażeby później powetować sobie tę chwilę przestanku. Spoglądaliśmy na siebie ukradkiem i doświadczyliśmy na przemian zdziwienia i zadowolenia; więcej nas ucieszył los nasz niż się spodziewaliśmy. Upłynęło trzy tygodnie, przy końcu których zdawało się, iż się znamy doskonale i przystajemy do siebie. Tymczasem nie było najmniejszego podobieństwa w naszych charakterach i upodobaniach.

Mój przyszły teść Stanisław hr. Potocki przyjechał na nasze wesele. Hrabia był jednym z najznakomitszych mężów w tej epoce, tak płodnej w ludzi dowcipnych i dzielnych. Brat jego Ignacy i on sam usilnie pracowali nad Konstytucją 3-go Maja i obaj stali się ofiarami swego poświęcenia, pokutując w więzieniach, jeden w Rosji, drugi w Austrii w Spilbergu, za szlachetne uniesienie, które kazało im pracować dla wolności i niezawisłości swego kraju. Bardzo rzadko można spotkać dwóch braci tak bogato uposażonych od natury; z nader miłą powierzchownością łączyli oni wyższy umysł, wykształcenie i pamięć cudowną, a jakkolwiek byli światowcami, umieli wszystko i mieli czas na wszystko.

Hrabia Stanisław posiadał nadto wiadomości artystyczne, jakich nigdy nie znalazłam w tym sto-

pnium u żadnego amatora. Kilka podróży po Włoszech wpłynęło na rozwinięcie w nim tej szlachetnej miłości dla piękna, co jest, że tak powiem, jakby nowym zmysłem. Zawsze uprzejmy i dobry, chętnie słuchał tych, którzy żądali od niego rady. Łagodne usposobienie i nadzwyczajna grzeczność stanowiły dziwne przeciwieństwo z żywością i drażliwością, które często pobudzały do śmiechu. Bywały dni, kiedy wskutek lada błahostki wpadał w gniew jak dziecko i równie szybko uspokajał się. Zwłaszcza przy grze aż śmiesznym było patrzeć, jak ten statysta, ten człowiek wytwornego gustu, ten wielki pan, który eleganckimi manierami imponował na wszystkich dworach europejskich, potrafił unieść się tak dalece, że ciskał karty i liczmany o swego partnera. Przytem grał zawsze po groszu i nigdy nie brał wygranych pieniędzy.

— Ależ — wołał w swoim zabawnym gniewie — gdybym grał nawet o plagi, to jeszcze chciałbym wygrać!

Ale wracam do mego ślubu, który odbył się w Wilnie, gdzie mieszkał mój ojciec. Papa cierpiał bardzo na podagrę i nie wolno mu było opuszczać pokoju, więc ceremonia odbyła się w jego salonie. W parę dni potem pojechaliśmy do Warszawy. Z jakże dotkliwym bolem żegnałam się z matczką, z którą nie rozstawałyśmy się dotąd!... Do Warszawy przybyliśmy w najpiękniejszej porze roku, aby wkrótce potem zamieszkać w Wilanowie, cudnej wsi, wstawionej wspomnieniami Jana Sobieskiego, który miał tu swoją rezydencję. Widząc się panią pięknego apartamentu, który matka dla mnie przygotowała

sądziłam, że jestem u szczytu szczęścia. Dotąd przyzwyczajano mnie do oszczędności; naraz ujrzałam się bogatą i niezależną!

Lubo nie miałam dla swego męża uczucia namiętnego, zaczęłam go przecie szczerze kochać. Moi przybrani rodzice byli uprzejmi i dobrzy — słowem nic nie brakowało mi do szczęścia... chyba trochę więcej rozumu. Oto dowód. Światło księżyca potrafiło na jakiś czas zmącić czyste szczęście, którem się cieszyłam. Powiedziałam już, że miałam umysł romantyczny i że stan spokojny i prosty nie mógł mnie na długo zadowolić.

Umyśliłam sobie, że trzeba tak postępować, aby mój mąż zakochał się we mnie na zabój. Pewnego wieczoru, gdyśmy się przechadzali nad brzegiem Wisły, pod stuletnimi drzewami, które ongi osłaniały swym cieniem mniej niewinne miłostki pięknej Maryi Arquien, sprowadziłam rozmowę na temat miłości. Utrzymawałam, że niema prawdziwego szczęścia na ziemi, prócz we wzajemnym przywiązaniu, którego żywość dorównywałaby trwałości!...

Mąż mój, słuchając mnie z pobłażliwością czas jakiś, potem spojrział na zegarek, mówiąc, że już jest późno, że komary tną nieznośnie i że trzeba wracać do domu. Wróciwszy do siebie, zalałam się łzami i uważałam się za najnieszczęśliwszą kobietę na świecie!... Będąc tak mało docenioną lub też ocenioną w sposób pospolity, nie mogłam zrozumieć, że można równie dobrze kochać w pokoju, jak na powietrzu przy świetle księżyca.

Od tej chwili marzyłam tylko o środkach wzbudzenia w moim małżonku namiętności, do której

przywiązywałam całą swą przeszłość i całe swe szczęście. Po dojrzałym namyśle, postanowiłam, że należy unieszczęśliwić męża przez to, że się go uczyni zazdrosnym. Nie chcąc dopuszczać kogoś trzeciego do tej poufnej afery, postanowiłam napisać sama do siebie list miłosny!... Aby uczynić epistołę bardziej naturalną i prawdopodobniejszą, dodałam do tego oświadczenia miłości zarówno nieśmiałej, jak gorącej, dość złośliwe uwagi o otaczających mnie osobach. Pismo tak dobrze zmieniłam, że mój mąż znalazłszy ten bilecik pod drzewem pomarańczowem, dał się oszukać i zaniósł go do swojej matki. Zachwycona, że mi się udało zaintrygować moje otoczenie, tryumfowałam, nie spodziewając się, jaki obrót wezmą rzeczy. Jakkolwiek żarty zawarte w liście były bardzo niewinne, dotknęły jednak moją teściową; odczytywała bilet, sprawdzała pismo, aż w końcu odkryła, że to ja jestem autorką tej mistyfikacji. Teraz postanowiono doświadczyć mnie i przekonać się, do jakiego stopnia posunę kłamstwo, które wydawało się tem występniejszem, że nie znano jego celu. Wysłano do mnie teścia. Na widok wchodzącego do gabinetu teścia i to z miną człowieka, co ma mnie badać, zupełnie straciłam głowę. Obawiając się przyznać do tego głupstwa, wyparłam się wszystkiego najniezręczniejszemu w świecie. Teść zachował się z nadzwyczajną delikatnością i odszedł, ustępując miejsca memu mężowi, który z kolei rozpoczął badanie. Umierałam ze wstydu i broniłam się z rozpaczą. Wkońcu pan małżonek wy dostał ze mnie fatalną tajemnicę. Wylałam potoki łez i padłam na kolana; przebaczył mi, gdyż zrozumiał powód takiego postępowania

i widział w moim żarcie tylko dzieciństwo. Gorzej było z moją teściową, która powzięła bardzo niekorzystne przekonanie o moim charakterze i uparła się, aby uważać ten list głupi i śmieszny za upodobanie do intryg. O mało co nie rozchorowałam się ze zmartwienia i zaczęłam odtąd spokojniej kochać mego męża.

O TEM, JAK PUZYNIANKA URWAŁA GŁOWĘ
AUSTRJACKIEMU ORŁU?

(1809)

Szkoda, że nie możemy z ust samej panny Antoniny usłyszeć opowieści o jej panińskim, jakże rozrzewniającym bohaterstwie, które ją zmusiło do ucieczki za granicę przed czarno-żółtą zemstą. Nie opisała niestety sama owej strasznej „zbrodni stanu“, jeno Lucjan Siemieński młody w r. 1842 literat i jeszcze wtedy rewolucjonista, zachwycony opowiadaniem, powtórzył, je wiernie, chociaż swoimi słowami.

Okropna była to chwila w roku 1809-tym dla świeżo obudzonej Galicji, kiedy po tylu zwycięstwach, tak świetnych, tak niepodobnych prawie jak walki Paladynów Aryosta z Olbrzymami, rozleciała się nagła pogłoska o spiesznym pochodzie Austriaków na Lwów. Ruch ten wojenny wyniknął, już z braku energii księcia Józefa, już z niechęci generałów moskiewskich, paraliżujących działanie nasze nad Sanem. Stolica Rusi, co po czterdziestoletnim jarzmie Rakuskim, uczuła się w całej sile życia, jak młodzian co po raz pierwszy konia dosiędzie i posłyszysz głos trąbki bojowej, teraz, jak strapiona matka za odjeżdżającym synem, patrzyła ze łzami na ustępującego Podolowi orły białe i chorągiewki — gdzie pod

dowództwem dzielnego Strzyżewskiego miało się stworzyć nowe powstanie. Gdyby przynajmniej te straty były skutkiem zniewieściałości synów Ojczyzny, owocem braku poświęceń — ale po takich cudach oręża! po marszach z zwycięstwa w zwycięstwo — stać się ofiarą gabinetowych kombinacyj, igraszką potwornego aliansu z Rosją — ach! to grób żywy dla narodu.

A Lwów, ten huczny, karnawałowy Lwów, jakże zesmutniał! Przed kilką tygodniami opanowany z taką sławą przez kilkunastu ułanów pod dzielnym Starzyńskim — wczoraj jeszcze brzmiący ulubioną pieśnią:

Za złotym orłem pójdziemy,
Rozszerzyć nasze ziemie

Wczoraj jeszcze lubujący się widokiem migających kurtek granatowych z amarantem, do których skakały serca dziewcząt w znanym krakowiaku:

Granatowa suknia, z amarantem kołnierz,
Jakże go nie kochać, gdy to polski żołnierz?

To miasto, takie zawsze wyniedzielnione na obchody zwycięstw wielkiej armii pod Wiedniem, Wagram, Znajmem — tak dumnie spoglądające na białe i czerwone barwy na słupach, i na białego orła z „pozłoconymi od słońca piórami“ (jak fikcyjnie mówili ówcześni rymotwórcy), który na wszystkich gmachach rządowych i na wieży ratusznej połyskał — teraz słyszy w ulicach szwargot niemiecki — z szynkowni „sztajer“ się rozlega — czarno-żółty kolor przykro oczy razi, a brudny dwugłowy orzeł zda się ptakiem, co tylko słotę wróży na dworze.... Regimenta czaraparów z cielęcymi torbami wałą się do

miasta od rogatek Grodeckich — kapela gra marsze tryumfalne, a zielone gałązki dębowe wiewają przy kaszkietach podobnych do skopków, niby laury zebrane na pobojuwisku w pierwszym lesie, który ich wyrwał do boju, jak wietrzne młyny Donkiszota.

Generał Egermann dowodzi zwycięzcom. Któż ich to wita okrzykiem: *Es lebe der Kaiser!*? Oto tłuszcza beamterów austriackich częścią wisząca przy urzędach, których za nowej organizacji Polakami osadzić niezdążono; oto hołota nowych kandydatów, wlekąca się za wojskiem, istne pijawki na wyssanie kraju, oto — żal serce ściska! — niewielka liczba wyrodných Polaków, co z dumą głosili: że gdyby czuli w sobie jedną żyłkę polską, kazaliby ją wypruć! Ale ten okrzyk: *Es lebe der Kaiser!* skończył prędko; ledwo kilku przekupionych żydków i przebranych policjantów powtórzyło go w tłumie ludu; gdyż tu i ówdzie pięść patryoty przybijała na ustach znak milczenia...

Tymczasem wzdłuż krakowskiego przedmieścia, po znaczniejszych ulicach, i jak szeroki rynek, rozwinęły się bataliony piechoty. Jenerał ze sztabem i władzami i z naczelnikami duchowieństwa, wchodzi do katedralnego kościoła. Po nabożeństwie solennem, na którym celebrowało trzech arcybiskupów; Kicki obrządku łacińskiego, Angiełowicz ruskiego i Szymonowicz ormiańskiego, odśpiewano: *Te Deum laudamus*, przy biciu w dzwony i huku armat. *Te Deum laudamus!* jakby zapomnieli Raszyna, Góry, Sandomierza, Zamościa? jakby sromotna ucieczka Ferdynanda z Warszawy na Boże Ciało, była strategicznym odwrotem? Jakby pierzchanie całych batalionów

przed kilkoma chorągiewkami, nie wyryło na ich czołach piętna tchórzostwa?

Z żalonych miejsc tryumfów i parad, z tego ulicznego zgiełku odwróćmy oczy i przenieśmy się w zaciszną ustron klasztoru Panien Sakramentek. Dzień ma się ku schyłkowi — grono kilkunastu osób, tak mężczyzn jak kobiet, najczęściej rodziców i krewnych młodych panienek, biorących wychowanie w klasztorze, zebrało się w refektarzu. Nigdzie więcej nie są pożądane wszelkie nowiny, jak za kratą klasztoru. Ciekawość gra tam większą rolę, niż na scenie świata — dlatego też bardzo żywa toczy się rozmowa o dziennych wypadkach, którym panna Ksieni i kilka zakonnic ciekawe daje ucho; dlatego co chwila potrącany dzwonek u furty zwiastuje jakiegoś nowego przybysza, który co prędzej otaczającym go, wszystkie brukowe nowiny opowiada.

Tą razą wszedł jakiś młody mężczyzna.

— I cóż tam słyhać? Czy wszystko spokojne?

— Najspokojniej — teraz obiad u arcybiskupa Kickiego.

— Bodaj go nie mogli strawić!

— Strawią — bo coraz nowe wiwaty, a wino wyborne.

— I nikt im okien nie powytlukał?

— Chyba same wylecą od hucznych strzałów i kapeli.

— Mój Boże, jakie spodlenie!

Na tę uwagę wszyscy pospuszczali głowy i nastąpiło milczenie, które przerwała młoda piętnastoletnia panienka, Antonina Puzynianka, głos jej był drżący i nieśmiały, jakby czuła, że przełamuje odwieczną

w wychowaniu regułę; gdzie starsi mówią, tam dzieciom się nie mieszać.

— Przecież — mówi bojaźliwie — ksiądz arcybiskup Kicki mógł być udać chorego, wymówić się...

Na ten raz przepuszczono jej śmiałości i odpowiedziano:

— Pocziwy człowiek, ale swego cienia się lęka, zwłaszcza, że Egermann ściga i prześladowuje patrijotów.

— Piękny mi posłannik Chrystusa, kiedy się boi męczeńskiej korony! Jeśli go zobaczę nie pocałuję go w rękę i jeszcze w oczy powiem: że shańbił imię Polaka!

Słowa te śmiało wybiegły, jak potok z ust młodej entuzjastki, która w stół uderzyła ręką dodając im znaczenia i mocy.

— Panno Antonino! — ofuknęła jedna z zakonnic; — a toż co znowu za sposób mówienia o przewielebnym księdzu arcybiskupie?! Bardzo proszę, swoich trzech groszy nie wścibiać; inaczej będzie pokuta i ostra...

— Pokuta czy nie pokuta — odparła nieco ciszej — ale w kim płynie krew polska, powinien się zemścić... O gdybym była mężczyzną!...

I postać jej wysmukła i niezwyčajna na wiek piętnastoletni, jeszcze wznioślejszą się stała... Czarne oczy nabrały ognia i wyrazu, w śniadych licach zagrała krew i energia ożywiła członki; bo osunąwszy się od grona przebiegała takim krokiem refektarz, iż się zdało, że mężczyzną w stroju kobiecym.

Szczęściem, że nikt nie uważał jej ruchów, gdyż właśnie wszedł poważny, siwy staruszek, którego

powitano tytułem pułkownika i zarzucono tysiãcznymi pytaniami.

— Co nowego mości pułkownik; czy jeszcze bankietują Niemcy? czy tam naszych nie widać?

— Naszych nie widać — odrzekł z uśmiechem staruszek — ale co na ulicach tak widno, żeby i szpilki zbierał...

— Jakto? czy ich tam kto podpalił?

— Illuminacja! transparenta!

— Tem uwieńczone dzieło! Tylko tego niedostawało do całej komedji.

— I któż się najbardziej wysadził?

— Kilku żydów i kupców Niemców — ale i nasz Kicki nie najpośledniejszy między nimi.

— Do tego przecież niktby go nie zmusił.

— To już zanadto!

— Tchorzowstwo, jak odwaga idzie zawsze na oślep.

— I jakiegoż rodzaju pomysł?

— Płaski, jak każde pochlebstwo — oto na balkonie w przeźroczu jaśnieje czarny, dwugłowy orzeł, otoczony trofeami zwycięstw, a pod spodem...

— Orzeł czarny?!! — krzyknęli wszyscy z oburzeniem.

— Lud się tam najwięcej gromadzi i zapewne niejeden odgłos, niemiły uszu dolatuje prałata...

— O podłości! o zdrado! — żalowała panna Antonina, zatrzymując się przy rozmawiających.

— Panno Antonino! umiarkuj się — krzyknęły matrony.

Lecz ona nie zważając na przestrogę zakonnice w uniesieniu podniosła rękę, niby wyzywając do czynu.

— I nikt się nie znalazł, coby to godło naszej hańby zdarł i zdeptał nogami?

Usta jej drgały, oko przeszywało do głębi opowiadającego staruszka, który rzekł bolejącym głosem:

— Policjantów i szpiegów co niemiara, każdy w duchu przeklina, i gotuje się na sposobniejszą porę. Nie dziw się więc kuzynko.

— Przecież tylu jest patryjotów...

— Ten figiel kulką pachnie!

— Wielka rzecz! zedrzeć i dać się zabić... — tupnęła nogą, i posunęła naprzód, jakby gotową była, co rzekła wykonać.

Tymczasem zakonnice otworzyły oczy, złożyły ręce, jak do Zdrowaś Marya i wielkim wrzaskiem nuż strofować pannę Antonię.

— Mościa Panno! a to co za sposób znachodzenia się w kompanii? Któż cię to uczył odgrażać się na tak znakomitą osobę w duchowieństwie? To nie ujdzie płazem — będzie pokuta i surowa pokuta — proszę natychmiast udać się do swego pokoju. Natychmiast bez exkuzy!!

Obecne osoby, a mianowicie ex-wojskowy staruszek usiłowali przebłagać gniew przełożonej, która w końcu dała się zmiękczyć, i tylko skazała naszą pensjonarkę na opuszczenie kompanii.

Panna Antonina wychodziła też z sali z całą powagą szlachetnego rycerza, walczącego nieszczęśliwie za najświętszą sprawę. — Przy drzwiach jeden z młodych chłopców, odwiedzający siostrę w klasztorze, a teraz należący do grona rozmawiających osób, zabiegł pannie Antoninie i ubolewając:

— Ach! jaka szkoda — mówił — z naszej wieczornej zabawy pewno nic nie będzie, wszak mieliśmy grać w przebieranego... ja miałem być krakowiakiem, a pani krakowianką...

— Prawda! mój wieczór stracony! ale wiesz co mój Julciu — tu zamyśliła się, i kładąc palec na ustach — wyborny mam pomysł: pożycz mi swego płaszcza i kapelusza.

— Najchętniej! więc panna Antonina nie jesteś dla nas straconą?

— Bóg to raczy wiedzieć... wszelako zachowaj tajemnicę!

Chłopczyzna skłonił się i wyszedł drugimi drzwiami dla dopełnienia zleceń pokutującej pensjonarki.

* * *

Właśnie biła godzina dziewiąta wieczorna, kiedy pod arcybiskupią kamienicą w rynku, zajeżdżał fiaker z trudnością torując sobie drogę przez tłum, co się zatrzymywał i przyglądał płonącemu: przeźroczu na balkonie.

W tym zakrytym powozie jedna tylko była osoba, która nie dała nawet czasu woźnicy zleźć z koźła i otworzyć drzwiczki; ale sama wychyliwszy się odsunęła zasuwkę i mignęła białą, małą rączką, która ile się zdało, mogła należeć do jakiej pięknej kobietki. Tak zapewne wnioskował jakiś dobrze ubrany mężczyzna, przechodzący w bliskości; albowiem zatrzymał oko na tej rączce i posunął się zważnym krokiem do służenia ramieniem. Wszakże zmięszął się i cofnął, gdy spostrzegł szybko i lekko wyskakują-

cego młokosa, po sam nos okutanego w płaszczu i w kapeluszu głęboko wtłoczonym na czoło. Wysiadająca osoba rzuciwszy sztukę złota fiakrowi, prosto mierzyła w bramę kamienicy arcybiskupiej; zatrzymała się jednak na chwilę podnosząc głowę ku transparentowi, gdzie orzeł austriacki gorzał w płomieniach kilkuset lamp...

Tłum mimowolnie nieśmiały i uniżony rozstępował się przed młodzieńcem, którego wziął za jakąś znakomitą osobę, mającą wstęp na pokoje pałata.

Tymczasem nasz czarny płaszcz mijał się nie spojrzawszy nawet na szwajcara rozpartego w bramie, przeskakiwał po kilka naraz schodów; przemknął się nieoświeconym przedpokojem mimo lokaji, a popchnąwszy drzwi od wielkiego salonu, nie zrzucając płaszcza ani kapelusza, jak strzała pomknął ku balkonowi. Tam silnem cięciem noża rozpruł transparent, podarł w kawałki i oderwał jedną z głów czarnego ptaka!

W pierwszej sali nikogo nie było, lecz w pobocznym gabinecie rozmawiało kilka osób, pozostałych z obiadu. Na szelest szybkich kroków przebiegających salę, a bardziej na nagły wrzask tłumu z ulicy: Wiwat, orzeł polski! wyszedł ksiądz kanonik Behm, a za nim arcybiskup Kicki, chcąc obaczyć co się to święci; oba szli ku balkonowi; lecz któż opieszsze podziw i przestrach księdza Kickiego, gdy nagle przed nim stanęła słuszna postać w czarnym płaszczu i kapeluszu i z podniesioną ręką, w której długi nóż błyszczał.

Kanonik zmieszany, sam niewiedział czy ciałem swoim zasłaniać biskupa, czy lecieć po pomoc...

Lecz biskup prędko nabrał zimnej krwi i rzekł: Księżę kanoniku zostań — mam czyste sumienie, nie lękam się niczego...

Na to nieznajomy, dobierając grubego głosu i z całą mocą ironii:

— Czyste sumienie! O księżę arcybiskupie uderz się tylko w piersi, jako Polak zgrzeszyłeś śmiertelnie — powiedz! kto ci kazał dziękować Bogu za to, że na nas zesłał ciemniców? W Piśmie Świętem, arcykapłani prowadzili lud do boju, a ty w niewolę. Powiedz! kto ci kazał ucztę dla tych wyprawiać, co krew współbraci piją? Kto ci kazał oświecać to haniebne godło naszego upadku?... Postępek mój niech ci dowiedzie, że są czujące dusze; że zemsta prędej czy później dosięga zdrajców Ojczyzny, jak dosięgła Massalskich, Kossakowskich i tylu innych! Polska jeszcze nie zginęła!...

Skończywszy, cisnęła mu pod nogi ową udartą jedną głowę z orła transparentowego.

— Ten co tam został na balkonie choć czarny, teraz już przypomina naszego! Przyjdą nasi i omyją go...

Starzec słuchał cierpliwie napomnień dziecka, nawet głowę zwiesił, jakby się wstydził łzy, cisnącej się do oka... W końcu wyprostował się i jakby dotknięty kontrastem śmiesznego położenia, przemówił w sposób łagodnego żartu:

— Moja ty wojująca Judyt! Zaprawdę jam nie Holofernes, lecz Polak, dobry Polak, jak i aspanna, ale kto wiele przeszedł kolei, kto ma z górą lat sześćdziesiąt...

— Ten powinien zdradzać!... — pochwyciła nieubłagana postać.

Kicki wzdrygnął się, lecz natychmiast pohamował uczucie obrazy i rzekł wznosząc rękę do błogosławieństwa:

— Nie, lecz przebaczać — a obracając się z zimną flegmą do księdza Behma: — Kanoniku! przeprowadź tę pannę, aby jej włos nie spadł z głowy. Przed kamienicą słyszę rozruch, napewne policja dochodzi przyczyny wypadku. Zmiłuj się, przeprowadź i nie mów nikomu...

Gdy się to dzieje, cała zgraja policyjskiej służby obiega kamienicę; łapie podejrzanych; rozbija lud pałkami zato, że woła: cud! cud! i że wróży z tej przygody czarnego orła o prędkim powrocie Polaków... Do wszystkiego mięsza się tajemnicze jakieś wyobrażenie: owa czarna osoba, jak jedni mówią, miał być duch zmarłego dawniej arcybiskupa; drudzy zaś, że sam Święty Stanisław — polityczniejsi utrzymywali, że to tajny wysłaniec Napoleona...

Po Niemcach mróz idzie; nie wierząc ani w ducha, ani w Świętego Stanisława, myślą, że to rzeczywiście jakiś wysłaniec armii polskiej, zamyślający o rewolucji. Wnet warty potrojone, patrole przebiegają miasto, oficerstwo szarfy przypasuje, „beamtery“ składają manatki.

Jednak, przy tylnych drzwiach arcybiskupiej kamienicy nóż znaleziono; nóż długi, kuchenny, a na nim godło Panien Sakramentek: Monstrancja! Otóż i ślad — resztę dojdą po nitce. Szczęśliwi! Gotowy protokół — proces — wyderkafy — dwudziestu „beamterów“ wzbogaci się... Niestety! próżne zabiegil — heroina nasza jeszcze tego wieczora opuściła z matką scenę niepospolitej swej odwagi i patryjotyzmu — wy-

jechała za granicę, a w trzy dni Moskale zajmują Lwów, z którego Egermann ustąpił.

Po tym wypadku wierszyk, w guście Molskiego, opisujący wejście wojsk austriackich do Lwowa — płód nieodpowiedni wielkiej okoliczności, jednak jako mający historyczną wartość, godny tu umieszczenia w wyjątku:

Nasz Kicki zrobiwszy minę
Prosił wszystkich na gościnę —
Tam się najlepiej udało
Bo zjedli zastawę całą...

Ale wesołe ich gadki
Przerwał przypadek dość rzadki:
Już była późna godzina
Kiedy wpadła heroina.

W dobrej minie i humorze
Na kawalki orła porze —
A urwawszy jedną głowę
Do Kickiego zwraca mowę:

„O ty, wyrodku Polaka!
„Zimny na przyjście rodaka
„Za dzisiejsze twoje fety
„Spodziewaj się tej odwety.

„Jak się w podobnej sprawie
„Dawniej trafiło w Warszawie,
„Gdzie infuły i purpury
„Popodnoszono do góry“.

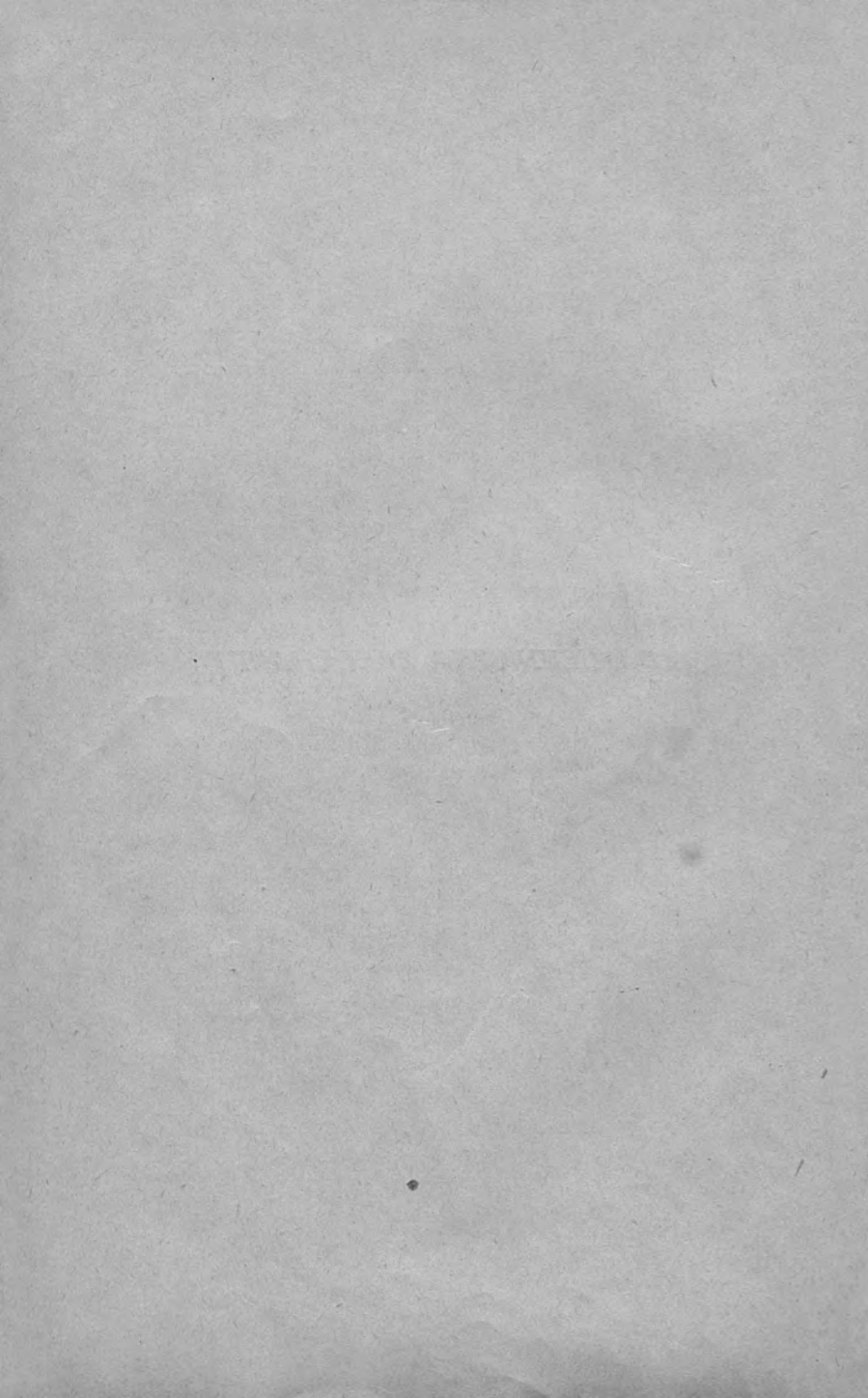
Tem mu przyjaźń okazała
Gdy mu prawdy nagadała,
Nad którą się tak zdumieli,
Że przytrzymać jej nie śmieli.

Potem szczęśliwie tam wyszła
Skąd z nienacka była przyszła,
Później trochę łapać chciano
Lecz się na tem oszukano.

A chociaż lud oświecony
Zrobił z tego zabobony —
Jednak to głosić nie skąpią;
Że dwa jednemu ustąpią!

Z DZIENNICZKA ZAKOCHANEJ

(1816)



Zofia Matuszewiczówna, córka ministra T. Matuszewicza, ukochana wychowanka dworu Czartoryskich w Puławach, zakochała się niešťeśliwie w ks. Adamie Czartoryskim. Przypadek bardzo zwyczajny, ale niezwyčajnie wrażliwą i czułą była dusza panny Zosi. To teź w jej dzienniczku, niby w zwierciedle z teź, przeglądadją się i widzą siebie wszystkie bolejące i zawiedzione serca.

Warszawa, 19. października 1816.

Nigdy, nigdy wieczór 18. października nie wymaże się z mojej pamięci, choć dotąd niewiem, czy za kilka dni wyda mi się najśłodszą czy najbardziej gorzką chwilą mego życia. Jedno tylko mnie uspokaja, to jest, że mi się nic stać nie może, jeno z woli Bożej, a Bóg nie zsyła cierpień nad siły.

23. października.

Wieleż to rzeczy przewaliło się w moim sercu od owego wieczora! Chwilami wierzę w szczęście, to znów przewiduję same zmartwienia, ale w każdej chwili słodko jest złożyć wszystko w ręce Boże.

27. października.

Jakież to są we mnie dziwne kontrasta! Wczoraj tańczyłam do upadłego, dziś potrzebuję całej siły woli, by się wstrzymać od łez. Gdybym wszakże miała oddzielić i zważyć moje różne uczucia — przeważałby smutek. Jeśli to była igraszka — to była okrutną! Taki właśnie miałam w duszy spokój i cieszyłam się nim tak bardzo, bo tego dobra najmniej dotąd użyłam. Spokoju mi najwięcej żal. Nie wiem dokładnie, co sobie mam do wyrzucenia, ale wiem, że najwięcej mnie trapi wątpliwość, czy postąpiłam, jak byłam powinna.

28. października.

Za dwa dni wyjeżdżamy do Puław. Nie powiem, aby mi to było przyjemne, ale sądzę, że będzie to wrażenie, podobne temu, jakie się ma w chwili, gdy się idzie spać po dniu, w którym było trochę uciechy, dużo przykrości i ogromnie wiele zmęczenia. Jakie będzie przebudzenie? Wiem, jakie będą sny...

30. października.

Opuściliśmy Warszawę. Pierwsze chwile były nad wyraz bolesne, ale czuję już, że wrócę do równowagi bo uczyniłam krok, który mi uspokoił sumienie, a to doda siły. Lubię Warszawę, bo tam najwięcej cierpiałam...

Puławy, 7. listopada.

Usiłuję się rozerwać, wypełniając zajęciem każdy kłakik dnia. Udaje mi się nieźle, ale oczywiście nie

zawsze, bo chwilami znajduję się sama ze sobą i wraz zaczynam się trapić alternatywą sprzecznych uczuć i myśli. Walczę z tem, oddalam zarówno przecucia wesołe i smutne. Radabym odnaleźć dawny spokój, którego dotąd nie umiałam ocenić. Przystałam mieć nadzieję w chwili, gdy zaczęłam pragnąć.

18. listopada.

...Dziś odebrałam dobry, tak dobry list!... (dodane później). Dziś także przyjechał... (ks. Adam Czartoryski).

Sieniawa, 18. grudnia.

Dziś dwa miesiące! Toteż otwieram tę książkę, do której nie zaglądałam tak długo. Byłabym przecież miała nie jedno do zaznaczenia. Odkąd czarujący obraz szczęścia ukazał się memu sercu, nie miałam ani jednej chwili spokojnej, a tyle przykrych...

21. grudnia.

Od kilku lat przywykłam w dzień moich urodzin zaznaczać tu ważniejsze wrażenia ubiegłego roku. Nie uczynię tego dzisiaj: nie mogę i nie chcę mówić o tem, co mnie najmocniej zajęło, o tem, co w jakikolwiek sposób Opatrzność los mój obróci, będzie w życiu moim stanowiło epokę.

1. stycznia 1817.

Jakże smutno rok ten zaczynam! Nic mi się nie uśmiecha w przyszłości, a tyle, tyle przewiduję zmartwienia. Serce mam pełne goryczy, zrażone, krwawe, widzę jaśniej co dnia, że mi trzeba wyrzec się złu-

dzenia, które mimo mej woli wkradło się w duszę. Ogarnia mnie ogólna nieufność, niesmak przy każdym zajęciu, przez większość dnia muszę udawać wesołość, a dźwięk własnego śmiechu mnie razi.

(Bez daty).

Przez te dni mieliśmy tu zebranie, bawiliśmy się w różne gry, tańczyliśmy, urządzaliśmy wycieczki, dużo było śmiechu i wrzawy. Miałam to, co nazywają „powodzeniem“, *des succès*, i przekonałam się, iż nic tak nie rani, jak galanterja, tam, gdzieby się pragnęło uczucia, nic nie mrozi, jak komplementy z ust, z których się słyszało coś słodsze, że wogóle nic się bardziej nie różni, jak chęć podobania się od pragnienia miłości.

9. stycznia.

O mój Boże, jakże mi serce od tylu boleści nie pękło, jakże tyle ich w jednym sercu się zmieści! Nie chcę się tu nad ich szczegółami rozwodzić — i tak nie mogłabym wyrazić wszystkiego, przez co przechodziłam. A tymczasem trzeba mi od rana do nocy wszystko to w sobie tłumić i utraciwszy wiarę w szczęście, udawać wesołość. W przyszłości czeka mnie jeszcze jedna boleść, a potem — wszystko mi jedno co się ze mną stanie.

20. stycznia.

Od kilku dni mamy precudną pogodę — a jednak to łagodne, wiosenne powietrze, ten powiew nadziei, jaki przynoszą pierwsze ciepłe dni po śniegach i mrozie, to wszystko tchnie we mnie smutek, któ-

rego chyba znieść już nie zdołam. O tej porze odczuwałam co roku pewną słodką melancholię — dziś to prawdziwy ból, przesycający duszę goryczą.

Sieniawa, 14. lutego.

Wczoraj jako w tłusty czwartek była tu ogólna maskarada. I ja też przebrałam się, ale sama szczerość otaczającej mnie wesołości wykazała mi, o ile moja własna była udaną i pustą...

22. marca.

...Opuszczamy Sieniawę za trzy tygodnie i jedziemy do Puław, gdzie mnie czekają nieuniknione przykrości. Boję się ich; tam moje biedne serce, które tu odzyskało nieco spokoju, będzie znowu co krok upokorzone, poniewierane, ranione.

Puławy, 30. maja.

Opowiedziano mi dzisiaj coś, co mi się bardzo podoba. Pewien szlachcic z Wołynia założył ogród, z którego rośliny sprzedaje na korzyść okolicznych ubogich. Jakże pięknymi są te kwiaty, z których sobie wije wieniec nieśmiertelny.

(Trochę zmienionem pismem). Boleśnie mnie wstrząsnęło spotkanie z tym [ks. Adamem Czartoryskim], który napełnił mi serce goryczą i upokorzeniem, który każde moje uczucie nieufnością przesycił. Czyż usłyszę od niego słówko cieplejsze, słówko za-
dośćuczynienia? Nie spodziewam się nawet.

7. czerwca.

Dziś zatem zakończył się stanowczo ten smutny epizod mego życia. Sen się rozwiął. Było w nim kilka

promyków, a potem dużo czarnych chmur. Nie żałuję tego, co się stało, choć było bolesnem; jestem pewna, że nie byłoby mi przyniosło szczęścia w przyszłości, a teraz cieszy mnie, że wyszła z trudnego położenia, w którym, przy braku doświadczenia, tak łatwo było zbłądzić. Mimo to jednak mam wrażenie, że wśród tych walk serca i duszy zerwała się jedna z nici, wiążących mnie z życiem.

Sieniawa, 12. czerwca.

(„Ręką przyjaciółki). Zosiulu moja droga, moja ty biedna, kochana, oby czas, który spędzisz w Sieniawie, ukoił twoje żale, a balsam słodczy zalał twe rozdarte serce. Niech twe sny będą jasne, przebudzenie pogodne, dni spokojne i ciche; niech nam twój śmiech powróci i niech ja się do tego przyczynię, tak, abyś w chwilach smutku mogła powiedzieć za panią Necker: „Ona przyjdzie i pocieszy mnie“. Oprócz mnie wszakże znajdziesz jeszcze w życiu godnego ciebie pocieszyciela, ale ten już nie będzie potrzebował pocieszać, tylko szczęście dzielić. Ufam w to napewno, bo Bóg jest prawdziwym pocieszycielem“.

Po ciężkich dniach, których zdało mi się, że przenieść nie zdołam, widzę się znów wśród moich dobrych, kochanych towarzyszek dziecinnych lat, w Sieniawie, w pośród rozrywek i zajęć. Stokroć wolę piękne lipy, okalające tu rojny i ludny dziedzińiec, od wielkich a pustych ogrodów puławskich. Mogłam nareszcie wylać wszystko z serca z całkowitą swobodą. Teraz mi dobrze, ale jestem tak zmęczona cierpieniem, że nawet radość moja jest smętną.

Przyszłość zda mi się pustą i mimowoli żal mi złudzeń, których młodość z tak uporczywą wiarą się czepia.

Bez daty.

Byłam kilka razy w życiu kochaną i podobałam się nieraz. Wspomnienie tego jest dla mnie pociechą, odkąd zostałam poniżoną...

Puławy, 17. sierpnia.

Co za dziwny zbieg okoliczności! To mnie właśnie przypadło napisać brulion listu, w którym księżna prosi o rękę Anny [17-sto letniej Anny Sapieżanki] dla swego syna Adama; pod tym warunkiem jedynie zgodziła się na napisanie go. *Ja* dla tego ks. Adama, który tak niedawno oświadczył mi swą miłość namiętą, który robił co mógł, by zdobyć serce moje, a potem wzgardził mną, obraził i upokorzył na każdy możliwy sposób. List ten był czytany przez niego i posłany przez tę panią Zamoyską, która to rozgrzewała mi serce objawami przyjaźni, to znów mroziła mnie swem chłodnem przed ludźmi obejściem. Ale nie skarżę się, bynajmniej nie skarżę! To, czego doznaję, pracując z całych sił nad szczęściem człowieka, który tyle zadał mi bólu, jest samo przez się nagrodą i zadosyćuczynieniem.

18. sierpnia.

W małżeństwie tem jest coś ponurego. Księżna śmiertelnie smutna; Książę Jenerał przybity, wszyscy domownicy niezadowoleni, obcy znajdują je śmieszem, Anna podobno kocha innego. Sam ks. Adam

jest smutny, niewymownie smutny i ze dwadzieścia razy zmieniał zdanie, zanim się zdecydował. Jutro wyjeżdża — bodaj był szczęśliwy, bodaj mu żadna boleść mego obrazu nie przywiodła na pamięć — bodaj nie pożałował!

6. września.

Boże co to za życie! *quel intérieur!* Wiele scen! Każdy się układa dla drugich, nikt nie śmie mówić tego, co myśli, ludzie unikają się wzajemnie, a spotykają się jedynie z wyrzutami lub skargą na ustach. O mój Boże, zlituj się nad nami, przywróć zgodę, spokój i wesołość w tej rodzinie, przedstawiającej w tej chwili obraz zmartwienia, nieufności i kłótni. A ja — młoda, ładna, bogata — czemuż więc szczęście odemnie odbiega? Czemuż ukazuje mi się na to tylko, abym więcej cierpiała, widząc, że nie dosięgnę go nigdy? Czuję w sobie jeszcze tyle młodości i życia, a tyle smutku!...

25. września.

Przyjechaliśmy do Radzynia na ślub ks. Adama. Trudno mi wyrazić wrażenia, odczute podczas dwóch dni naszego pobytu. Oddawna już przestałam go pragnąć dla siebie, a nawet obawiałam się tego związku; dziwnie wstrząsającym jednak było patrzeć na urzeczywistniające się innej osobie to, o czem niegdyś, jako o rękojmi swego szczęścia, marzyłam. Ceremonia ślubu sprawia sama przez się wzruszenie, a tu Anna była tak piękną, wyglądała tak młodziutko, jej matka tak rozrzewnioną, Księżna tak zbolaną. Wszystko razem było tak niewymownie smutne, że cała sala tonęła we łzach. A ja z sercem tyłu uczuć

pełnem pomyślałam, że dla mnie samej nadeszła chwila uczynienia wyboru. Anna wychodzi za mąż pod złemi wróżbami — mnie też nie wiele zapowiada się szczęścia. Przykro mi było, a nie śmiałam się zbliżyć do tego rodzinnego kółka, z którym sądziłam wpraw, że podobny dzisiejszemu związek zjednoczy mnie jeszcze silniej. Po skończeniu obrzędu stałam sama na uboczu i zdało mi się, że mi serce pęknie. Anna spostrzegła mnie i równie wzruszona, jak ja, przyszła mnie uściskać. Nie mówiłyśmy do siebie, ale czuję, żeśmy się zrozumiały, że ona odgadywała moją boleść, a zarazem i wszystko dobre, com o niej Księżnie mówiła w tym właśnie czasie, gdym mnie-mała, że mi bezwiednie szczęście całego życia zabiera. Pewna jestem też, że rozumiała, jak żywo odczuwam wszystkie przykre strony jej położenia: jej obawy przy zmianie stanu i przy wejściu do rodziny, gdzie jej sobie tak mało życzone. Nie zapomnę nigdy chwili, w której nie wyrzekłszy słowa, zawarłyśmy przyjaźń serdeczną. Nie, zaprawdę, nie zapomnę jej: Anna ma dla mnie tyle uroku! Zresztą zdaje mi się, iż przyczyniając się do jej szczęścia, będę w sercu własnem zacierać ślady dawnych boleści.

10. października.

Cięży mi własna moja wolność i brak decyzji. Mam wolny wybór między kilku partjami. Wiem, że już na zmianę losu zdecydować się trzeba, ale zamiast by mnie serce ku komuś ciągnęło, mam w nim same smutne przeczucia. O! żeby to chciano za mnie postanowić i nieodwołalnym rozkazem położyć koniec wahaniu, którego źródłem jest obojętność, zastępu-

jąca w moim sercu poryw uczucia, a z nim przyszłe szczęście — nie dla mnie stworzone.

Puławy znów puste; jestem smutna do głębi duszy. Dziś rocznica dnia, w którym zaczęło się snuć długie pasmo poniżeń i zmartwień, oplatających mi serce jak wieniec cierniowy. Ks. Adam jest w tej chwili w Warszawie, wyzwany po raz drugi na pojedynkę przez generała Paca, [który kochał się w Sa-pieżance].

1. listopada.

Ks. Adam powrócił wczoraj. Dotąd drżeliśmy o jego życie. Nigdy jego widok nie sprawił mi takiej radości.

Sieniawa, 13. listopada.

Mam jeszcze przed sobą ciężkie zadanie: ja — którą zbudzić i przywiązać do życia mogłoby jedynie uczucie, że jestem kochaną, potrzebną czyjemuś szczęściu i wybraną li tylko z miłości — jestem zmuszoną odepchnąć serce, które mi się oddaje, muszę zasmucić i zranić uczciwego człowieka. Przyjechał wczoraj wieczór i zaraz z bólem serca rozpoczęłam mą pracę.

19. listopada.

Wielkie zebranie, dużo muzyki; śliczny, wesoły bał, który zawsze z wzruszeniem wspominąć będę. Szczęście być kochaną choć przez obojętnego mi człowieka, wydaje mi się czemś niewymownie słodkiem; pomimowoli dowody tej miłości rozrzewniają mnie.

10. grudnia.

Wieleż to przykrości i zmartwień, które przez życie przechodzą, a o których się zapomina! Każda z nich wszakże zostawia drobną bliznę, coś jakoby załamek na ogólnem usposobieniu; coraz to nowy listek zerwany z życiowego wieńca, nowe złudzenie zwiane z marzeń młodości.

26. grudnia 1817.

Czemuż nie mogę kochać tak, jak jestem kochaną? Ta miłość tak mnie rozrzewnia, iż chwilami biorę wdzięczność za żywsze uczucie i serce mi drga nadzieją, że dosięgnę najwyższego szczęścia, to jest, że będę kochaną, kochając. Ale złudzenie szybko opada: nie kocham i daleko mi nawet do tego. Boże mój, dzięki Ci, że nie spotkałam na mojej drodze człowieka, którego bym pokochała ze wszystkich sił, zupełnie jeszcze świeżych w mym sercu, boć Tobie jedynie taka się miłość należy. Przyciągnij mnie jeszcze silniej do Siebie, oderwij od ludzi i od samej siebie, weź całe to biedne serce, które pragnie bez nadziei i cierpi bez dostatecznej siły, by ukochać swoje cierpienie.

Nigdy nie widziałam tak wesoło zamykającego się roku. Wszyscy byli w wybornym usposobieniu i zdali się na rok następny same rościć nadzieje. Tańczyliśmy. O północy z rozkazu księżny wniesiono śliczne, kilkomiesięczne dziecko, trzymające w rączkach różę i wiersze z życzeniami dla całego towarzystwa. Annie było do wesołości daleko, a jednak czułam się zadowoloną, porównując ten Nowy Rok z przeszłym, gdzie byłam bliską rozpaczki w przewi-

dywaniu zmartwień, które się później ziściły. Teraz jestem spokojną, bo sobie powiedziałam, że tego rodzaju szczęścia, jakiegobym pragnęła nie zaznam nigdy na ziemi. Wprawdzie mi trochę żal, ale przestałam go pożądać; postanowienie zaś mojej przyszłości oddałam w ręce Boga, którego woli objawem będzie dla mnie wola mego ojca i z tym przekonaniem postanowiłam poddać się jego decyzji. Oczekuję jej bez obawy.

Sieniawa, 28. stycznia 1818.

Od pewnego czasu prowadzimy życie dziwnie rozrzucone i puste. Ta zima, która się przyjemniej od innych zaczęła, obecnie psuje się zupełnie. Nie lubię tego rodzaju zabaw tak często powtarzanych, czczych, światowych, niezostawiających wolnej chwili na żadne zajęcie, ani chwili samotności z własnymi myślami, niedozwalających nacieszyć się kółkiem dobranych przyjaciół. Tyle tu powstaje plotek! Wszystkie rozmowy obracają się około wydarzenia tak zgubnego dla K. a przez to samo tak bolesnego dla mnie, że już wolę, aby plotkarki zamiast tego obrabiały znieawidzony mi przedmiot strojów. Mam wciąż ochotę cytować ten ustęp z Księcia de Ligne: „Nic nowego się nie mówi, nic nowego nie myśli, te same rozmowy zawsze wracają, wie się naprzód co się odpowie — aż mnie gniew bierze na samego siebie, gdy widzę, w jak ciasnem kółku myśli się obracają”.

2. lutego.

Na wczorajszym balu odjęłam panu S. ostatnią iskierkę nadziei. Nie mogę się zdecydować na odda-

nie mu życia, nie znajdując dlań w sercu absolutnie nic, krom uznania. Ale mnie to bolało, gdy mówił, że niszcę w nim wszelką możliwość szczęścia, gdy powtarzał rzeczy, które się mieniło tylekroć oklepającym frazesem, a których przecież słucha się jako prawdy, widząc twarz pełną rozpacz, oczy pełne łez i wiedząc, że się jest celem wszystkich myśli mówiącego, i że los jego zawisł od naszego skinienia. „Bodajbyś pani jeszcze kogo znalazła, któryby cię tak jak ja ukochał i bodajbyś bardzo była szczęśliwą — ale jeśli nią nie będziesz, nacóż ci moje nieszczęście się przyda?” Słowa te uderzyły mnie bardzo. Ja i bez tego tak mało wierzę w szczęście! Kto wie? może byłabym je znalazła z nim w pożyciu spokojnym... gdyby on sam mi był mniej nieprzyjemny.

18. lutego.

Jestem niespokojna o księcia Adama. Już po raz trzeci wyzwany jest przez p. Paca. Miało się to właśnie teraz odbywać, a może do tej chwili już się wszystko skończyło; w jaki sposób — Bóg jeden wie!...

Warszawa, 11. kwietnia.

Byłam wczoraj na ogromnym balu; nie mogę powiedzieć, jak mi przykre zostawił wrażenie ten tłok, ta pretensjonalność, ta sztuczna wesołość... Dziś poszliśmy kupować kwiaty w ogrodzie Szarytek — o ileż los ich jest szczęśliwszym nawet na tym świecie! Żałuję czasu, gdy wierzyłam w możliwość zostania zakonnicą!...

18. kwietnia.

Wczoraj byłam na balu, prowadzona przez Annę [żonę ks. Adama]. Drobnie to zdarzenie spowodowane było zbiegiem różnych okoliczności; trzeba mi było zwalczyć i stłumić wiele przykrych uczuć i dlatego tę datę zaznaczam.

22. kwietnia.

Widząc zbytek i próżność i lekkomyślność, jakie tu panują, zaczynam wątpić o możliwości zbawienia w życiu światowem. Czemuż nie mam możliwości, a zwłaszcza odwagi rozstania się z tem wszystkim? Bezsilna, otoczona pokusami, czy zdołam oprzeć się prądowi, który mnie w ślad innych unosi? Wprawdzie powaby świata nie starczą dla serca, ale tu właśnie wchodzi w grę owa gubiąca nas wieczna sprzeczność między charakterem a upodobaniem. Boże zlituj się nademną, nad moją duszą cierpiącą i pełną wahania! Idę przez życie z bolesną trwogą, nie wiedząc nawet, czego pragnąć.

Sieniawa, 20. maja.

Jesteśmy tu z powrotem od dwóch tygodni. Dobrze mi tutaj i miło. Cieszę się zwłaszcza moim pokojem, który opiszę w całości. Jest maleńki, ale zawiera wszystko, czego mi potrzeba. Stoї w nim wielki klawikord, wygodna kanapka przy piecu, na komodzie moje ulubione książki, ustawione obok szpicrutek do konnej jazdy, stolik do rysunku, inny stolik do roboty, trzeci stolik, na którym piszę; umieściłam na nim najulubieńsze moje graciki, dwa albumy, słowniczki, krucyfiks od księżny, zegarek stojący

od papy i dużo przepysznych kwiatów. Drugie okno a raczej drzwi szklane otwierają się na ogród; gdy jest pogoda i chcę spokojnie parę miłych godzin przepędzić, urządzam sobie w tych drzwiach siedzenie z książkami lub robotą. W takich chwilach usiłuję oddalać smutne myśli, otrząsnąć się ze zniechęcenia, a zwłaszcza zapomnieć, że wszystko, czem się cieszę, wisi jakoby na włosku, że co dnia grozi nam niebezpieczeństwo utracenia Księcia Jenerała, że zgon jego będzie śmiercią dla każdego z nas, że w przyszłości mojej nic się nie uśmiecha, że... ale spis byłby za długi.

Warszawa, 3. czerwca.

Wyjechaliśmy z Sieniawy dnia 28. maja, aby się tu spotkać z ks. Wirtemberską, która wczoraj przybyła. Nie mam nic więcej do zaznaczenia z Warszawy — co prawda, stałam się dziwnie nieczułą na różne wrażenia.

Warszawa, 14. czerwca.

I ja też pragnę uzupełnienia mego życia! Pragnę własnego kąta, pragnę szczęścia i obowiązków żony i matki. Gdy spotykam młodą kobietę, wspartą na ramieniu męża i prowadzącą dziecko za rękę, serce mi drga i oczy napęlniają się łzami. Tak już tego byłam blisko! Ale snać jestem skazaną na to, by nigdy nie mieć czego pragnę i żałować dobra, któremu dałam wysliznąć się z ręki.

25. lipca.

P. Ludwik Kicki adjutant W. ks. Konstantego, [późniejszy generał w r. 1831.] przyjechał dziś. Oto

nowa sposobność dla mnie. — Czy z tego co będzie?

Jasieniec, 3. sierpnia,

Tu dopiero u ojca poznaję, jak bardzo byłam pieszczoną w Sieniawie: każde zapomnienie, każde pominięcie mnie boli, ostrzejszy ton w głosie sprawdza mi łyzy do oczu, parokrotna nagana wprowadza we mnie zniechęcenie. O jakże mi żal, jakże łaknę tej atmosfery serdecznego ciepła, starania i pobłażliwości, jaką mnie otaczali: księżna, książę, każda z moich towarzyszek, każdy z domowników, nawet każdy służący. Tak, jak roślina do cieplarni przywykła, nie mogę znieść innego powietrza, serce moje uwiędłoby na zawsze.

16. sierpnia.

P. Kicki powrócił. Papa przyjął go niesłychanie życzliwie i namówił, aby nam towarzyszył w dwudniowej wycieczce naszej do Solca. Zda mi się, że tym razem jestem schwyтана. Serce mi się ściska, bo nie mam dla niego żadnego słodsze go uczucia, a widzę, że nie powinnam już odmawiać tej partji. Mówią mi o nim tak wiele dobrego, mówią, że się zastосуje do wszystkich moich życzeń. O jeżeli to prawda, to z mego wpływu zrobię tylko jeden użytek:

Będę łagodna, powolna, zrobię co tylko będzie w mojej mocy, aby go uszczęśliwić, byle on mi pozwolił być trzy czy cztery miesiące szczęśliwą w Sieniawie. Widzę bowiem, że jeżeli nie wyjdę za mąż, ojciec mnie będzie tylko pożyczał księżnie i to gdy

będzie w Puławach. Tak jest — trzeba się zdecydować i to z odwagą; trzeba sobie powiedzieć, że Bóg mi nie przeznaczył małżeństwa z miłości, że zaś w takich warunkach człowiek, któremu się na zimno oddaje serce, zaufanie i całe swe życie, musi się zadować poniekąd wstrętnym, ale też, że z czasem można się przywiązać i przez to samo używać pewnego rodzaju negatywnego szczęścia. Co do prawdziwego szczęścia — tego już nie szukam, chyba w pamięci. Czas, jaki mi do życia zostaje, zda mi się jakoby strumieniem, który opuszcza kwieciste brzegi, by gubić się w jakiejś nieznannej dali.

Sieniawa, 8. września.

Zawezwana do Warszawy dla pełnienia mych obowiązków damy honorowej przy cesarzowej matce, wyjeżdżam jutro z księżną i Aurelką.

Warszawa, 27. września.

Stało się — los mój postanowiony! Wychodzę za p. Kickiego, którego zaledwie znam. Jakimże cudem wyrzekłam stanowcze słowo wśród najgorszego wahania? Jakże się to ułożyło u Dworu; w gabinecie cesarzowej, tak, że wczoraj jeszcze niezdecydowana, znajduję się dziś jakby zaręczoną?... Czuję się tak zmieszaną, oszołomioną i poruszoną do głębi, że chyba za kilka dni będę zdolna rozpatrzyć się w moim położeniu. Dziś odczuwam tylko smutek i — strach.

30. września.

Po zabawach i zgiełku nastął zupełny spokój. Jestem zajęta pisaniem do wszystkich, którzy o mnie

dbają, listów z doniesieniem o mym przyszłym zamążpójściu. Każdy z tych listów mnie boli: nie mogę powiedzieć, abym żałowała mego postanowienia, bo wiem, że dobrze zrobiła, ale mi smutno. Byłam u pani Gutakowskiej, gdzie mnie bardzo dobrze przyjęto. Pani Kicka jest nad wyraz dla mnie dobra, ale każdy krok zacieśniający moje więzy jest mi przykrym. Na progu nowego życia zdaję sobie sprawę, jak bardzo dotąd byłam szczęśliwą, a im więcej oceniam minione radości, tem mniej wierzę w te, które mi obiecują na przyszłość. A serce moje wciąż milczy — jeżeli go nie zdołam pokochać, jakże spełnię wobec niego moje obowiązki!

5. października.

Po raz pierwszy przyjąłam p. Kickiego i to w moim pokoju — zawsze z ogromnem zakłopotaniem. — Jestem żywo wzruszoną jego obejściem, tak widać żeń, że pragnie mnie uszczęśliwić, że jest moim szczęściem aż do najdrobniejszych szczegółów zajęty! Jakżebym chciała mu się choć odrobinę odplacić, nietyle dla własnego zadowolenia, jak na to, by mózdz być o szczęście jego spokojną, aby wiedzieć, że znalazł we mnie to, czego się spodziewał.

Warszawa, 8. października.

Bez przestanku śledzę drgania mego serca, szukając w niem postępu uczucia dla p. Kickiego: nie odkrywam go wiele, ale wiem tyle, że gdybym jeszcze miała wybierać, wybrałabym jego raczej, niż wszystkich innych, o których myślałam. Jest tak do bry i zdaje się mnie kochać!

Puławy, 28. października.

Opuściliśmy Warszawę 14. października. Pojechałam prosto do Jasiénca; dzień, który tam spędziłam, był jednym z najprzykrzejszych w moim życiu. Odkąd tu jestem, to jest od dwóch tygodni, czas mi schodzi przyjemnie. P. Kicki jest tutaj. Moja przyjaźń dla niego wzmacnia się. Codziennie raz lub dwa razy przychodzi do mnie. Bardzo mi słodko słyszeć na wszystkie sposoby, że jestem kochaną i snuć tysiące miłych planów na przyszłość.

Sieniawa, 5. stycznia 1819.

Wyjeżdżamy jutro. Nie będę miała siły z kimkolwiek się pożegnać. Chyba mi serce pęknie gdy opuszczę Sieniawę. Bóg jeden wie, czy tu kiedy powrócę.

Puławy, 9. stycznia.

P. Kicki wyjechał naprzeciw nas do Biłgoraju. Powitałam go z wielkim zakłopotaniem. Czyż to możliwe, że za tydzień mam być nierozdzielnie złączoną z kimś, który mi jest tak obcy? Tu zastaliśmy wiadomość, że mój ojciec nie może przyjechać do Puław, więc księżna, pomimo poczynionych już największych przygotowań, przystała na odbyte ślubu w Warszawie. Byłoby mi wprawdzie przykro, gdyby papa nie był na nim obecny, ale nie pocieszę się nigdy, że najważniejszy akt mego życia nie odprawi się w domu, gdzie mnie tak przez całe życie kochano, gdzie doznałam tyle szczęścia, i który z tak wielkim żalem opuszczam.

Warszawa, 16. stycznia.

Dziś zatem mój ślub. Nie zaznaczam tu różnych uczuć, przepelniających mi serce i tak nie zapomnę ich nigdy. Najsilniejszemi z nich, to żal za tem, co opuszczam i pragnienie uszczęśliwienia człowieka, który zda się pragnąć mego szczęścia.

PODLOTEK WŚRÓD POETÓW I OFICERÓW
(1829)

Sześciokonną karocą, należną tylko generałom komenderującym, pędziła po ulicach Warszawy pani Bogusława z matką, słusznie dumna ze swego ś. p. rodzica, wszak był nim gen. Jan Henryk Dąbrowski, po którego śmierci w Winnej Górze wdowa z córką i synem zamieszkała w stolicy. Dzięki nazwisku i koneksjom 15-letnie dziewczątko widziało, przeżyło i zapamiętało wiele. Staruszką jest już pani Mańkowska, gdy opowiada (r. 1880) o swem dzieciństwie, a przecież jak żywo widzimy Niemcewicza i Mochnackiego, Konstantego i ks. Łowicką, Mikołaja I. Artura Zawiszę i całą Warszawę w przeddzień listopada, a wszystko oczyma dziewczęcia.

1. Walka klasyków z romantykami w pokoju.

Po śmierci ojca mego gen. Dąbrowskiego, który zmarł w swoich dobrach w Winnej górze, opiekunem jego majątności został dawny jego adjutant, pułk. Ludwik Szczaniecki, oraz pułk. inżynierji Wierzbowski.

Owdowiała z nami zacna nasza matka osiadła w Warszawie w pałacu Paca. W wychowaniu dzieci

dopomagać matce mieli Niemcewicz, jen. Prądzyński, a później rektor Pijarów, Kurowski.

Nadeszła szybko jesień 1829 roku. Zaczynałam się bawić, a kończyłam się uczyć. Moje żywe i wesołe usposobienie cieszyło się wprawdzie zabawą, ale zamiłowanie do nauk żałowało drugiego; rzadko też kiedy, młoda osoba mogła mieć tak przyjemne i korzystne wykłady, jak ja je miałam. Najprzód epoka była taką, jakiej już pewno drugiej nie będzie; ludzie do niej stosowni, bo nią rozbudzeni i rozświetleni. Jedno o co się ubiegano, było służyć aż do męczeństwa Ojczyźnie, aby ją wyrwać z rąk tyranów. Ta idea tworzyła wtenczas towarzystwa patrijotyczne i ludzi w nich takich, jak Łukasiński, Zan, Zawisza, ta idea wiodła na pole bitwy tych, co na nim chlubnie ginęli!...

I my w Warszawie mieliśmy ludzi już sławą okrytych, wszakże był to szczyt świetności Towarzystwa Przyjaciół Nauk, już podówczas osiedlonego w pałacu Staszycy i wzbogaconego liczną biblioteką. Członkowie Towarzystwa miewali liczne posiedzenia i zbierali się w ważnych narodowych sprawach. Tam bywały przy uroczystościach świetne mowy, jako i odczyty Niemcewicza, Koźmiana, Skarbka i wielu innych uczonych ludzi; słuchaczy bywał nacisk, a każdy wychodził napojony i upojony prądem nauk, które płynęły z gorącego źródła polskich serc i ówczesnych znakomitych inteligencji! Jednocześnie w akademii odbywały się sobotnie prelekcje Osińskiego; bywać na nich stało się szaleństwem wyższego towarzystwa. Ujmująca i miła powierzchowność, niezrównany organ, czystość polszczyzny w mowach prelegenta,

jako i jasność w wykładzie, miały coś tak pociągającego, że nie można było doczekać następnej soboty.

Nauki moje szły w Warszawie swoim trybem pod przewodnictwem guwenera i profesorów wybranych z poręki Niemcewicza.

Guwenerem był pan Krępowiecki, człowiek wyobraźni ognistej, namiętnego charakteru, niesłychanych zdolności i ogromnego wpływu na otoczenie przez swoją porywającą i łatwą wymowę. Stąd też zapewne był on w roku 30-tym jednym z dyktatorów i naczelników w sławnym klubie „Honoratki“ przy ulicy Miodowej, a w końcu smutnej sławy adjutantem Krukowieckiego.

Jako nauczyciel był on niezrównany i nieoceniony w chwilach, gdy mu się chciało wykładać, bo mniej lubił to zajęcie niż polityczno-literackie sprawy, dla których schodzili się niemal co wieczór jego znajomi i wielbiciele.

Tam widziałam i słyszałam Trentowskiego, Mochackiego, Ksawerego Bronikowskiego, ex-pijara Pułaskiego, a nawet czasami i naszego profesora księdza Kurowskiego, jako i wielu innych, którzy z pamięci mi wyszli. Pokoje nasze od tych co brat z nauczycielem zamieszkiwał, były przedzielone tylko szerokim kurytarzem; mieli ci panowie każdy oddzielny pokój sypialny, a w środku salonik, który służył do lekcji w dzień, a w wieczór do politycznych zgromadzeń. Drzwi pokoju mego brata trafiały się naprzeciwko mego pokoju; biorąc prawie wszystkie lekcje z nim, najczęściej chodziłam robić razem u jego stolika wspólne wypracowania. Tam słyhać było przez drzwi jak najwyraźniej zajmujące i z zapalem toczące się

rozmowy czysto literacko-polityczne. Nieraz wykradałam się cichaczem, aby słuchać odczytów i deklamacji. Czytano i krytykowano wszystko co było najnowsze; zwolennicy romantyzmu zwalczali klasyków. Była to właśnie chwila łamania się tych dwóch prądów, i jak z wiosną na rzece bryła lodu raz tonie, drugi raz płynie górą, tak te dwa obozy, walcząc dzisiaj z sobą, nie wiedziały, który jutro górą będzie, a który utonie. Półmędrki czyli półpoeci, że tak powiem, nie mogli znieść gwałtownie i olbrzymio wrażliwej potęgi Mickiewicza, a jednakowoż jego blask coraz jaskrawiej świecił, że kto przed miesiącem wyśmiewał się z „Dziadów“ i „Sonetów“ już dziś chwiejny milczał, a często się zdarzało, że w miesiąc później już zaczynał uginać kolana. Mimo tego w salonie obok naszej klasy deklamowano z zapalem co tylko w Warszawie wydrukowaną balladę, napisaną przez Krępowieckiego, pod tyt.: „Romantyczność“

Przed odczytaniem część towarzystwa zatwierdziła, że Mickiewicz nie jest i nie będzie geniuszem, bo utwory jego pochodzą tylko z rozdrażnionej i gorączkowej wyobraźni, która żadnej a żadnej niema podstawy! Po tym dekrete zaczęto czytać krytykę „Dziadów“, wyjętą z powyższej Ballady, która brzmiała, jak niżej:

Dokąd mnie wiesz o duchu ciemności?
 Twa dłoń zimna, wzrok ponury,
 Wiszą nad głową chmury,
 A ciało zimnem przejęte do kości!
 Dokąd mnie wiesz, o duchu ciemności?
 Nie lękaj się, idziesz społem

Z czarnym ciemnoty Aniołem.
Jestem posłańcem romantyczności!
Bóstwo, któremu służę, sięga krańców świata,
Na jego jedno skinienie
W ciemnościach nocy rój duchów wylata:
I te co w piekle mają schronienie,
I ze starych mieszkań zamków
I ze spróchniałych drzew odłamków
Wszystko co ma siwe pierze,
Stare sowy, nietoperze
I puszczyki i puhacze
Wszystko biegnie, wszystko skacze!
Ujrysz widziadła, poczwary,
Ćmy, straszydła, trupy, mary,
I sylfy, gnomy, upiory,
I błędne cienie i zmory,
I śmierć z kosą sinej barwy,
I szatany, djabły, larwy,
Które łopocą skrzydłami swemi.
Jużeśmy, woła, wyżej ziemi!
Widzisz to światło w iskierce,
Widzisz duchów wolny chód;
Miej tylko serce i patrzaj w serce
W ów czas wielki ujrysz cud!
Najprzód dał się huk słyszeć, za hukiem jęczenie,
Za jęczeniem skowycie, za skowyciem grzmienie,
A za grzmieniem upiorów rój gęsty się sunął,
A za rojem siarczysty deszcz rześisty lunął.
A za deszczem wichrów szum,
Wtem
Znikła czarna publiczność
I ujrzałem Romantyczność!

Widocznie, że ten ustęp miał być krytyką „Dziadów“. W innych częściach, ile pamiętam, był ten wiersz w ogóle w ten czas znany i często powtarzany:

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie!

Co to będzie? co to będzie?

Ciemno wszędzie! głupio wszędzie!

Co to będzie? co to będzie?

Pomiędzy tymi odczytami przychodził czasem który z naszych profesorów rzucić okiem na nasze wypracowania. Szczęśliwą byłam z tej sposobności, aby prosić o niektóre wytłómaczenia z usłyszanych urywkami odczytów i zarazem poprosić o pożyczenie najładniejszych wierszy do przepisania. Do tych usług najskwapliwszymi byli Trentowski i rektor Kurowski, który do ostatnich chwil swego życia przyjeżdżał co rok do nas na wieś. Trentowski w późniejszych czasach, kiedy już był znakomitym filozofem, gdziekolwiek spotkał się ze mną za granicą, zawsze z wielkim zapalem przypominał pałac Paca i w nim wspomniane odczyty. Mój niedoświadczony wiek i młodociana wyobraźnia nie umiały jeszcze ludzi sądzić, ale unosiły się nad pięknem co je rozwijało i co chciwie chwyciły do siebie, że je tutaj porywało coś wyższego ponad śliskie posadzki salonów!

Kilka dni później w tem zebraniu czytano nigdy nie drukowany poemacik Niemcewicza, za które poeta o mało co nie został wywieziony przez Konstantego w te śniegi, które tak dowcipnie i rzewnie opisywał w rozmowie dwóch sybiryjskich wygnańców, pod tytułem jeśli się nie mylę: „Janko i Kiryło“. Rozmowa ta zaczynała się wierszem:

„Dziesiąta, świta ranek,
Zaprzęgaj psy do sanek“.

Po tym wierszu wielka zapanowała wesołość, bo wzięto się do czytania komicznego poematu w siedmiu pieśniach, który napisał Konst. Gaszyński pod tyt. „Jaxiada“. Był podówczas w Płocku Jaxa Marcinkowski; pisywał wierszem i prozą, zawsze obszernie i zawsze nudno; jemu samemu tylko zdawało się, że dosięga sławy najznakomitszych poetów.

W takiej to chwili, kiedy przepisywałam któryś z tych wierszy obok pracującego nad łaciną brata i z tej, dziś mogę powiedzieć, demokratycznej atmosfery, wywołał mnie do matki służący w eleganckiej liberji.

Zaledwo przeszłam kurytarz i dwa pomniejsze pokoje, już byłam w pięknym jasno oświetlonym salonie, pełnym gości, przeważnie wojskowych. Salon był, jak cały pałac Paca, w guście włoskiej architektury; duże okna, duże kontury marmurowe i wszystkie ozdoby stosowne do tego stylu. Zgromadzeni goście byli to zwyczajni domownicy, dawni przyjaciele ojca, a dzisiaj matki: Niemcewicz, Chłopicki, Łubieński, Staś Potocki, Kicki, X. Lubecki i Michał Radziwiłł. Starsi usadzeni przy stolikach wistowych, przy których była także zacna i lubiana włoszka, generałowa Blumer. O niej obiegały nieustanne anegdoty z powodu złego tłumaczenia się w języku polskim, na które nigdy się nie gniewała i razem ze wszystkimi naśmiewała. Była także w ten wieczór tak nazwana nierozdzielna czwórka pani Zielonkowej, to jest ona sama, jej córka Hermanowa Potocka, panna Marya Ślaska, kuzynka, i wtenczas pełen uroku młody adjutant Kruszewski.

W środku salonu był duży stół przy którym siedziała młodsza generacja i ci, których bawiło grać w gry, po francusku nazywane: *Jeux d'esprit*. Chociaż znałam wszystkich bardzo dobrze, ale przyznać szczerze muszę, że moich szesnaście wiosen nie czuło się jeszcze dosyć dojrzałe w tak imponującym wiekiem i wytrawnym dowcipem towarzystwie. Jakoś bardziej swojo było mi przy skromnym stoliku brata, którego namiętnie kochałam, i z którym nierozdzielnie rośliśmy razem jak dwa kwiatki w jednej doniczce. Potem uczułam jednakowoż uderzającą różnicę tych dwóch zgromadzeń, choć nie umiałam sobie zdać sprawy z tego socjalnego chaosu, w którym było tyle umysłowego życia, tyle pracy i pochopu do poświęceń narodowych! Później dopiero zrozumiałam jasno przepaść, którą wyobrażał kurytarz, jaki ja tak często przebiegałam. Tam siadywała przecież przyszła „Honoratka“, tutaj obóz i powaga dawnych zasług; tam niby nieład i nierząd, tu wojskowa karność i subordynacja.

Jednakże jakkolwiek było, nie skoro nam było potępiać i gardzić nikim; wszyscy zarówno kochali ojczyznę, wszyscy zarówno chcieli jej ocalenia, wskrzeszenia i zjednoczenia!

Tymczasem w salonie zrobiono podstępne sprzyśżenie, aby mnie zaprządz do pierwszych prób i usadzić do stolika „*des beaux esprits*“. Do dziś dnia pamiętam nieśmiałość i pomieszanie moje, kiedy wszystkim dali jako konkurs jedno i to samo zapytanie na małych papierowych karteczkach. Pytanie było: „Co po słońcu najjaśniej świeci?“— Jedni odpowiadzieli księżyc, drudzy wiara, inni Wezuwiusz, a ja, świeżo napojona prądem poetycznymi lekcjami

literatury, napisałam niewiele myśląc: „Sława Mickiewicza“. Jakież było dopiero moje pomięszanie, kiedy poznano moje pismo i dostałam rzęsiste oklaski! Zbliżył się do stolika naszego nasz współopiekun Niemcewicz, aby z pupilki żartować, obsypując przesadzonemi powinszowaniami. Zasiadł u stolika, gdzie zaczęto jeszcze pisać szarady i udarował mię następującą, zrobioną na prędcę, na moje imię: „Bogusława“:

*Pierwszemu winien jestem życie i istnienie,
Zdaje się, że odrazu poznasz świata Pana,
Drugie czczę ponad skarby, ubóstwiam szalenie,
I chcę taką zachować, jak przez przodków dana,
Pierwsze z drugim złączone gdybym mógł posiadać,
Nie dbałbym światem, ani milionami władać.*

Ta szarada była zupełnie w ówczesnym smaku, i jak się można było spodziewać, wielkie odbierała oklaski.

Potem na tym samym okrągłym stoliku rozłożono bogate i złote hafty i drogocenne koronki. Były to projekta, rysunki i plany dla ubiorów na zapowiedziany z wielką świetnością bal kostjumowy u p. Stanisławowej Potockiej. Cóż to za przygotowania były w biegu! miały być kadryle niemal wszystkich narodowości i historyczne grupy. Długo moja matka broniła się i wahała czy mi pozwolić na wzięcie udziału w tej świetnej reprezentacji, aż wreszcie, *per suffrage universel*, przegłosowano dla mnie kostjum młodej greczynki, jako towarzyszkę jen. Kickiego, który miał figurować w ubiorze Maurokordaty. Był on podówczas jeszcze tak pięknym, że jego piękność

i urok mogły iść w zawody z najmłodszymi tego czasu. Dawny adjutant Ks. Józefa przejął od swojego generała ten idealny typ wojskowego który w salonie świeci elegancją i uprzejmością, jak karnością i odwagą w obozie. Każdy, co znał ks. Józefa Poniatowskiego mówił, że adjutant jest cieniem zmartwychwstałym naszego świetnego bohatera. Bywał on u nas co dzień, zawsze uprzejmy i słodki w rozmowach, a jednakowoż mający w sobie coś z człowieka, który przebiegł długi szereg lat w marsowym znoju; dla tego też moje młode lica okryły się purpurą, kiedy ten piękny generał powtarzał po kilkakroć razy, jak czuję się szczęśliwym i jak wdzięcznym losowi, iż mu tak młodą przeznaczył towarzyszkę. Któż byłby mi wtenczas powiedział, że waleczny ten żołnierz zginie, w mgnieniu oka rozszarpany armatnią kulą, kiedy na koniu, z mieczem w rękę do odwagi towarzyszków wzywał. Przytomny tej okrutnej śmierci jego adjutant, Marcelli Żółtowski, nigdy jeszcze dotychczas bez łzy w oku nie może o niej wspominać.

Wracając do naszych kostjumów, wspomnę o kadrylu żydowskim, w którym Kaliksta Rzewuska, późniejsza księżna Teano, była przebraną nie za żydówkę, ale za młodego żyda podolskiego; kilka też było nadziemskich mglistych zawojów Ewiraliny i Malwiny z Ossiana, z złotemi herbami, przebiegających błękity nieba. Jedną z nich miała być słynna swoją pięknnością i czarującym urokiem Natalia Potocka za księciem Eustachym Sanguszką.

Zajęcia nasze przerywał od czasu do czasu głośny śmiech po salonie, pochodzący od stolika,

gdzie siedziała generałowa Blumer. Znać, że świece musiały się kończyć razem z wieczorem, i generał Chłopicki, chcąc lepiej widzieć przybliżył jedną z nich do siebie. Z tego powodu ze strony generałowej za ciemno odrazu się zrobiło, więc odwracając się do niego, powiedziała:

— Generale, daj mi buzi, bo ciemno!

Wszyscy wtenczas rozśmiali się głosem. Chłopicki zawsze obozowo wesoły, odpowiedział:

— Jeszcze na to za jasno! — a generałowa z wszystkimi razem podzielała tę wesołość.

Tymczasem salon się wypróżniał, i już było tylko kilka osób, kiedy jedna z przytomnych zaczęła mówić o nieprzyjaznych uczuciach, które panowały między Niemcewiczem, a panią Wąsowiczową. Były to dwie potęgi umysłowe, które wypowiedziały sobie wojnę. Nienawiść zwrastała, każde z obojga miało swój obóz, te potężne dумы, naprzeciw siebie stojące, nie chciały ugiąć kolana jedna przed drugą.

Niemcewicz, wiemy że był *l'enfant gâté* Warszawy; pani Wąsowiczowa również była zwyczajna licznych hołdów i byłaby bezwątpienia uznała i darowała pewną wyższość Niemcewiczowi, gdyby się ten chciał przyprządz jako niewolnik do jej złotego wozu. Nie mogę sobie przypomnieć czy to z powodu imienin, czy Nowego roku, w którym wiele osób podarunki po francuskiej modzie rozdawało, ale wiem, że świeżo Niemcewicz był dostał starannie opakowaną paczkę, w której środku znalazł bardzo stary, brzydki, szklany wyszczerbiony i gęstym, wyschłym atramentem powalany kałamarz, jako i gęsie pióro, pobrudzone, obdarte, wygryzione, wyskubane, a wszystko razem

mające być godłem tego, czem dzisiaj jest! Nie wiele myśląc i przeczuwając, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, skąd to pochodzi, obrażony pisarz i poeta kazał zrobić z suchej paproci i wyschłych pokrzyw wcale nie aromatyczny bukiet, i ten owinięty w delikatne i eleganckie papiery wysłał pani Wąsowiczowej jako zemstę za kałamarnicę! Po szczerem naśmianiu się z tych dwóch złośliwych posyłek, reszta gości opuściła nas, wypróżniając salony.

2. Gdy Konstanty rządził Warszawą.

Karnawał roku 1830 był istotnie bardzo ożywiony. Wszyscy, jakby zapominając dawnych krzywd, żyli w nadziei szczęśliwej przyszłości, nie przeczuwając, że to ostatni raz tak hożo i tak wesoło bawiono się na tej ziemi, która krótko potem krwią miała być zlaną. Któż myślał, że te mundury, co zdobyły nasze salony, które z nami tak swobodnie wirowały, w tym samym roku bezwładne okrywać będą pola poświęceń i chwały!... W końcu marca, jako i na początku kwietnia roku 1830, w arystokratycznych salonach warszawskich powszechna rozmowa była o przygotowawiu świetnych toalet na zbliżający się sejm i przybycie cesarza Mikołaja z małżonką i całym petersburskim dworem. Miał to być sejm niezwykły, bo wszechwładny cesarz Mikołaj I. występował tą razą jako nowo koronowany król polski.

W chłodnym i mglistym dniu wiosennym panował od samego rana ruch między wojskowymi niezwykły. Gromadzili się oni na plac swojej, że tak powiem, martyrologii, bo zapowiedziana była wielka parada z powodu oczekiwania przyjazdu cara wszech

Rosyi. Wpadali do nas, jedni po drugich znajomi wojskowi z wieściami o dzisiejszym humorze Konstantego. Przyszedł gen. Staś Potocki z ponurą twarzą, mówiąc, że co tylko spotkał dwóch adjutantów, zdaje mi się, Turnę i Zamojskiego, którzy twierdzili, że ksiązę wstał w bardzo groźnym usposobieniu.

Zgromadzanie się u nas wojskowych przed paradą było dawnym zwyczajem za życia u mego ojca, kiedy przychodził Zajączek, Wielhorski, Mokronowski w otoczeniu swoich sztandarów. Jak dawniej, tak i dzisiaj skromna zakąska, z której w przelocie korzystali starzy i młodzi. Pamiętam, że w ten dzień podczas śniadania, przyszli generałowie: Kicki, Chłopicki, i przybyły z Łowicza Klicki; przyszedł także posiwiaily, pięknej postaci, marsowego uroku, generał Sierawski.

Zaledwo goście odeszli i cisza w salonie nastąpiła, zaczęły obiegać wieści po ulicach o strasznym nieszczęściu, które zająć miało podczas dzisiejszej parady. Jedni mówili, że wielki Ksiązę własną swoją szpadą przebił któregoś z wojskowych, drudzy, że go w niepoohamowanej złości koniem stratował; inni, że nieszczęśliwy zelżony publicznie młodzieniec sam sobie życie odebrał! Wszystko to było do prawdy podobne, bo Konstanty był to tygrys, a nie człowiek, który raz wypuszczony z klatki, wszystkiego w swojej wściekłości dopuszczał się na ludziach. Na nieszczęście, nikt z przytomnych temu zdarzeniu nie mógł się przed końcem parady oddalić. Służba, co się po mieście rozbiegła, aby coś z tej nieszczęśliwej katastrofy pochwycić, wracała z najdziwaczniejszymi szczegółami!

Aż w końcu wbiegło do nas dwóch panów.

Jeżeli mnie pamięć nie myli, byli to generał Łubieński i ks. Michał Radziwiłł. Na ich twarzach było widać, jak do głębi serca dotknięci są obei gą, uczynioną przez Konstantego, całemu wojsku polskiemu. — Ci panowie, potwierdzili, że Księżę od samego rana w niesłychanym rozdrażnieniu, patrzył na defilujące wojska z wyrazem gniewnej surowości i niespodzianie od razu gdy przechodził pułk artylerji pieszej, w którym byli porucznikami Szkaradowski i Frölich, raptem poczerwieniał na całej twarzy i zaczął z największą wściekłością swoim nieprzyjemnym, ochrypłym głosem wołać:

— Szkaradowski, Szkaradowski!

Ten nieszczęśliwy młodzieniec, czy nie słyszał, czy nie zrozumiał, dlaczego miał stanąć i wyjść z szere gów, szedł dalej!... Wtenczas wielki Księżę wspiał konia i w największym gniewie podjechał do niego, a nachyliwszy się z konia, dał mu silne uderzenie zamkniętą pięścią w samo gardło pod brodę, potem kilka razy w twarz, i w wściekłej złości za ledwo mógł wymówić: *Coquin!* durak! i t. d. i t. d.

Ta straszna, skandaliczna scena, wywołana była dla kilku haftek, których nieszczęsny Szkaradowski zapomniał u swojego kołnierza zapiąć! Obraza ta dotknęła do głębi duszy całe zgromadzone wojsko polskie. Tymczasem biedny i szlachetny młodzieniec, pełen wojskowej ambicji, powiedział sobie w jednej chwili, że tak splamionemu już mu żyć niepodobna, i kiedy zbliżyli się do poblizszego odwachu, wyciągnął szpadę, oparł ją o barjerę, położył ostry koniec na piersi i rzuciwszy się nagle i silnie, przebił odrazu swe czyste, niewinnie obrażone serce!...

Reszta dnia upłynęła w niesłychanym pograżeniu. Duma polska i żal wyciskały z pod powiek łzy, z żółcią pomieszane. Zbliżała się szara godzina tej nieszczęśliwej doby. Dla zimnej jeszcze pory, ogień zapalono na kominie z rzeźbionymi marmurowymi ozdobami. Nad kominem jaśniała duża szklanna szyba, a z obydwóch stron kolosalne zwierciadła kończyły się u dołu złożonymi schodkami. Obok nich na niziuteńkich fotelach zasiadłyśmy z pograżonem i pochylonem czołem, patrząc w milczeniu na promienie, co rozpościerały w dużej, głębokiej, ciemnej sali dziwaczne światła, pomiędzy czarnymi cieniami.

Po chwili takiego milczenia i ponurej ciszy otworzyły się raptem drzwi z niezwykłym łoskotem, a w ich ramach pokazała się postać blada, znużona, pomieszana, z głębokim wyrazem bóleści. Był to towarzysz Szkaradowskiego, Frölich. Ten młody i bardzo przyzwoity porucznik artylerji stał się można powiedzieć *le roi de la mode* w Warszawie i — choć nie był znany ze swoich antenatów — bywał wszędzie dla miłego układu i dobrego wychowania. Stanąwszy kilka kroków od nas, ręką zasłonił oczy, aby przed przemówieniem poświęcić jeszcze kilka cichych łez zmarłemu przyjacielowi, poczem zwolna przemówił do nas:

— Panie zapewne przytomnością moją zadziwione?

Dalej zaczął opowiadać, rozdzierające serce szczegóły o swoim towarzyszu, który zapewne nie domyślał się, dlaczego tyle obelg na niego spadło, tylko w mgnieniu oka uczuł, że już żyć nie może, a między postanowieniem i tym bolesnym wykona-

niem nie miał nawet czasu by posłać ostatnie pożegnanie nieszczęsnej matce.

Po tym zdarzeniu Konstanty kazał zaraz aresztować wszystkich oficerów tego pułku, odebrał im szpady i internował w tym samym odwachu, gdzie nieszczęśliwy Szkaradowski życie sobie odebrał. Wszyscy jego koledzy istotnie nie wiedzieli, czego się spodziewać: czy wypędzenia z wojska, czy wysłania na Sybir. Oddalenie się z tego aresztu było niebezpiecznym czynem; bo W. Księżę mógł w każdej chwili tych panów do siebie zawezwać, albo do innego więzienia kazać przeprowadzić.

W chwili, kiedyśmy ganili panu Frölichowi tę śmiałość, wchodzi stary kamerdyner i melduje donośnym głosem:

— Księżna Łowicka!

Te słowa były niespodzianym piorunem, i tak mało do prawdy podobne, że w pierwszej chwili zdawały nam się niczem innym jak żartem pochodzącym od kogoś, kto chciał przestraszyć i zażartować z odważnego więźnia. Księżna Łowicka bowiem od kilku lat nie miała już pozwolenia oddawania wizyt, nawet swoim najbliższym znajomym i krewnym. Wiadomo było wszystkim, że gdy kto chciał księżnę odwiedzić, musiał podawać petycje do jen. Kuruty, a ten dopiero wyselał ją na Belweder do W. Księcia, który podług złęgo lub dobrego humoru, decyzje zatwierdzał i dzień oraz godzinę wyznaczał. Często się zdarzało, że na taką odpowiedź czekano nie tylko dni, ale nawet i tygodnie, a bardzo często z dziesięciu dam, które podawały swoje prośby

W. Książę zaledwo dwie albo trzy uznał za godne odwiedzenia Księżnej.

Z powodu tego zdawało nam się rzeczą do prawdy niepodobną, żeby Księżna była w odwiedziny do mojej matki przyjechała! By się przekonać oświadczyć, pobiegłam sama i przez wążutką szparę drzwi, należących do wielkiej sieni, ujrzałam z niemałym zadziwieniem i postrachem znanego strzelca Księcia Konstantego! Dopiero wtenczas nastąpiła wielka konsternacja, której dziś istotnie nikt nie zrozumie, kto nie przeżył tych czasów w Warszawie i nie przeżył właśnie dnia tego niesłychanego teroryzmu.

Wszystko działo się prawie w mgnieniu oka. Powróciwszy na salę, wyrzekłam: „Strzelec Wielkiego Księcia!“ matka czemprowadziła kamerdynerowi: „Prosić!“ Wskazaliśmy w największym pośpiechu panu Frölichowi buduaręk obok salonu, który jakkolwiek nie był oświetlony, miał drzwi otwarte i z niego, jak się niżej pokaże, całą rozmowę Księżnej słyszał. O ucieczce tylnym wyjściem nie było mowy, bo innej komunikacji nie było, jak główny wchód idący przez ten sam przedpokój, gdzie był strzelec a raczej szpieg W. Księcia; ten zaś miał obowiązek wymieniać zawsze nazwiska wszystkich napotkanych. Jakaż mogła być okropna konsekwencja z tego, gdyby Księciu powiedziano, że porucznik artylerji, Frölich, mający być aresztowanym na odwachu znajdował się obecnie w pałacu Paca!

Księżna Łowicka była dawniej związana czułym węzłem przyjaźni z moją matką. Z tego też powodu bez żadnej etykiety i żeny, weszła zaraz do salonu i uściskawszy nas obydwie serdecznie, zdziwiła się,

że od ostatniego widzenia tak znacznie podrosłam. Potem zasiadła swobodnie na fotelu przy kominku i zdawała się być biedaczka rozpromienioną i uszczęśliwioną jak ptaszek, którego z klatki wypuścili! Zwolna zdejmowała rękawiczki, kapelusz i gruby szal wełniany angielski, który okrywał skromniutką, w zielone szkockie kratki suknię, poczem poprosiła o filiżankę herbaty dla rozgrzania się po przejażdżce z Belwederu. Matka naturalnie zakazała przyjmowania innych gości, i rozmowa zaczęła się toczyć o tem, co było najmiłsze i najbliższe serca, o siostrze, o jej dziatkach i o ich szczęściu i pięknej Turwi. Widocznem było, że mówiąc o tym, dusza jej rozpromieniła się blaskiem tego szczęścia, którego jej własne serce doznawać nie mogło. Później zaczęła mówić o przybyciu cesarza, co tyle, jak jej się zdawało, miał dobrych chęci dla naszego kraju, i który tak życzliwego zastępcę i opiekuna wyznaczył w swoim własnym bracie! Biedaczka, nigdy nic nie wiedziała, tylko tyle, ile W. Księżę chciał do niej dopuścić, i pewno jeszcze nie słyszała, o dzisiejszym nieszczęściu i okrucieństwie męża! Ciągleśmy z matką spoglądały na siebie, ze skrytą ciekawością i domniemaniem, dla czego istotnie Księżna mogła przyjechać. Wreszcie obróciwszy się za szalem i kapeluszem, zaczęła prawdziwą misję wydobywać na jaw. Była ona rzeczywiście dla Księżnej bardzo trudną do powiedzenia. Znała bowiem nasze stosunki i charakter matki zatwardziało-dumno-polski. Jednakże w końcu zażenowana poniekąd, przemówiła po francusku tymi słowy:

— Chère amie, il faut que je vous dise, que je

suis envoyée par mon Seigneur, (tak zawsze mówiła o mężu) pour vous dire qu'il est très étonné que sur la liste des Demoiselles de chiffres, que lui a présenté aujourd' hui le général Kuruta, il n'a pas aperçu le nom de votre fille, et il m'a chargé malgré cela de lui offrir de sa part le titre de Demoiselle de chiffres. (Że W. Księżę zadziwiony mocno tem, że nie było mojego nazwiska na liście podanej mu przez jen. Kurutę, mimo tego przysłała dla mnie tytuł frejliny, z prawem noszenia brylantowej cyfry cesarzowej).

Był to dla nas prawdziwy piorun, ale matka przyjęła go z wielką spokojnością i godnością. Po chwili wspólnego milczenia odpowiedziała Księżnej, że jakkolwiek takie łaski i dystynkcje nie powinny bywać nigdy odmawiane, jakkolwiek, iż dużo bez wątpienia osób za nimi będzie się ubiegało, jednakowoż ona na żaden sposób przyjąć tej łaski nie może.

Wiadomo już Księżnie było, że na łożu śmiertelnym żądał ś. p. ojciec mój słowa od matki, że nigdy żadnych okazji i łask od nieprzyjaciół kraju nie będzie przyjmowała, wiadomo nawet było Księżnie, że aby nie uleść zwyczajnej formie, która wymagała doniesienia Księciu o śmierci męża, z nadmienieniem przytem o należącej się emeryturze w ilości 12.000 rubli rocznie, wołała wyrzec się tego, niż podpisać list w formie przypomnienia i łaski, która zresztą należała się prawnie. Po przypomnieniu tego wszystkiego Księżnie, matka upraszała najuprzejmiej, aby w najdelikatniejszy sposób przedstawiła W. Księciu, że jeszcze jestem za młodą do wypełniania wszyst-

kich tych etykietalnych form i obowiązków dworskich, że zresztą wiadomo wszystkim, że zaledwo powstają z ciężkiego przebytego koklusz. Na to Księżna z rozczuleniem i łzami w oczach, z serdecznym uściśnieniem rzekła do mojej matki:

— *Vous êtes toujours la même.*

Tak się skończyła wizyta, która zrobiła niemałe wrażenie w Warszawie, bo nie uszedł uwagi przechodniów ekwipaż z Belwederu, stojący przed pałacem Paca, a zaciekawieni wszyscy zwolna dowiadywali się prawdy, szczególnie przez pana Frölicha, który mimo, że obiecał nic nie mówić o tym zdarzeniu, nie mógł się wstrzymać od opowiadania prawdy. Groźny rozkaz aresztowania wszystkich oficerów nieszczęśliwego pułku artylerji zakończył się szczęśliwie 24-godzinnym aresztem. Zapewne sam Wielki Książę pomiarkował się, że przed samym przybyciem brata dosyć już jego niepohamowana wściekłość ofiar narobiła.

Mimo, że wszyscy mniej więcej byli zajęci przygotowaniem się na zjazd majowy, było w atmosferze coś podobnego do tych chwil, gdzie się podziemne dają słyszeć grzmoty, zwiastujące niezadługo wybuch wulkanu...

3. Denerwujący walc.

Element rewolucyjny wśród młodzieży warszawskiej w r. 1830, tej samej, która ongi patrzyła przez szpary na przyjęcie Aleksandra I. był teraz rozdrażniony przyjmowaniem bawiącego w Warszawie Miłkołaja.

Pomiędzy młodzieżą najburzliwszym był bez-

wątpienia *Artur Zawisza*, ten właśnie, któremu losy tak tragiczną śmierć przeznaczyły. Ale był też to człowiek palcem Bożym wyznaczony na męczennika poświęceń i przekonań, wśród których miał się rodzić. Był on na zewnątrz jakby ze stali i spiżu wykuty, a na wewnątrz napełniony wszystkimi palnymi materiałami. Zdawało się, że dosyć dotknąć kwestji naszego przygnębienia, wymówić nazwisko którego z tyranów lub wspomnieć o powstaniu przygnębionych, aby go w tej chwili widzieć zmienionym od razu w zapaloną pochodnię! Młodszych i słabszych straszyl ciągle Artur różnymi teroryzmami, twierdząc, że gotów jest tego lub owego zasztyletować; że nie ręczy za siebie, czy widząc na którymkolwiek balu cesarza, nie zemściłby się na nim za Wilno i Warszawę!... Przy tych gwałtownych deklamacjach, miał on w wyrazie twarzy i ogniu tryskającym z oczów taką siłę moralną, że jasnym było, że to co mówi nie jest udanem, ale głęboko uczutem; słuchających brały zarazem postrach i admiracja, i nikt się też nie dziwił, że ten huragan wielu porywał za sobą.

W tej to właśnie chwili ważyły się moje losy, a raczej decyzja bywania lub niebywania na zbliżających się balach cesarskich. Matka była zupełnie przeciwną bywaniu, twierdząc zawsze, że nie jestem jeszcze owocem dość dojrzałym na tę etykietalną atmosferę. Wiedział o tych debatach Zawisza i zaręczał mi, że jeżeli ja będę bywała, to i on przyjdzie na te bale, przyczem zaraz angażował mnie do pierwszego tańca. Po wszystkim, co poprzednio mówił aż się mi zimno zrobiło i z braku odwagi nie śmiałam robić żadnej objecki; on też potem wstał

i pokłoniwszy się nisko wyszedł z tym stanowczym postanowieniem.

Kilka dni przeszło w spokojności i niepewności. Położenie istotnie było delikatne i trudne po bytności i propozycji księżnej Łowickiej. Projekt bywania na balach byłby upadł, gdyby nie przybycie pani Zamojskiej podówczas jeszcze pięknej, a niegdyś opiewanej przez Trembeckiego jako: „Zosia śliczna czyli róża mleczna“. Ta więc Zofia z Czartoryskich ordynatowa Zamojska przyjechała namawiać usilnie matkę, aby mi zezwoliła być na jutrzejszym balu u niej. Nazajutrz w przepysznie umajonym i oświeconym pałacu Zamojskich, po szerokich schodach w szpalerze kwiatów, wśród dubeltowego rzędu bogato galowanych lokajów, wchodziliśmy do imponujących salonów, zapelniających się gośćmi. — Pani Zamojska upatrzyła chwilę, gdzie para cesarska stała przy sobie, a korzystając z tego, obydwie nas zaprezentowała. Cesarz „raczył“ patrzeć i nic nie mówić; cesarzowa zapytała się nas, wiele mamy lat? Zapewne nieśmiało i niezgrabnie odpowiedziałyśmy wspólnie, że mamy lat szesnaście, na to cesarzowa:

— *Je vous les envie*, (zazdroszczę ich wam) — a odwracając się do pani Zamojskiej, powiedziała niby półgłosem:

— *Comme elles sont charmantes!*

Mogła to wtenczas powiedzieć, bo cóż łatwiejszego jak w tym wieku zasłużyć na ten tytuł? Cesarzowa Aleksandra nie była nigdy piękną, ale dosyć przystojną, przytem hożą i ożywioną, co sprawiało, że była nawet dość sympatyczną. Namiętnie tańczyła, powtarzając, że z przyjemnością przybywa do War-

szawy, aby ochoczo tańczyć naszego mazurka. Na balu u pani Zamojskiej była ubraną skromnie, bo to był bal prywatny, nieliczny, ale doborowy. Miała białą kreponową suknię, od kolan do dołu marszczoną wkoło bufki, przedzieloną atłasowymi rulonami, z przypiętymi bukietkami fiołków, a pomiędzy fiołkami na cienkich drucikach poruszały się djamenty, udające krople rosy. Na głowie takie same związki, na szyi ametysty otoczone brylantami. Pamiętam jeszcze obok cesarzowej stojącą księżną Łowicką. Ta była w różowej krepowej sukni. Na głowie z każdej strony rozkwitał duży kwiat kaktusa, a obydwie spojone w środku węzłem jakby z zielonego węża, nad którym widać było owe ówczesne tradycyjne, z włosów zrobione: *noeuds d'Apollon*, tak nieartystyczne, a tak lubiane i niezbędne.

W kilka dni później był wielki bal publiczny w ministerjum skarbu czyli banku, gdzie zamieszkiwał ówczesny minister skarbu, książę Lubecki, z którego rodziną, a zwłaszcza z siostrą, panią Scypionową, (nazywaną „ministrem ministra“) była moja matka w codziennej zażyłości. Pamiętam, że w dzień tego balu, niektóre moje znajome, już od dwunastej godziny siedziały ustrojone z kwiatami na głowie; fryzjerzy bowiem byli bardzo zajęci, a dla powyżej wymienionych *noeuds d'Apollon*, nie było można samej dać sobie rady. Pamiętam jak wyjechawszy ubrane w eterycznych strojach, musiałyśmy jadąc z Miodowej ulicy do banku siedzieć w karecie półtorej godziny, bo zaledwo powóz ujechał kawałek, już my dojechali *au fil*, a potem szło już krok za krokiem z przestankami w miarę czasu, którego potrzebowali

goście do wysiadania przed bankiem. Przepychów przed pałacem i w salonach nie opisuję, mało je nawet pamiętam, bo jedno zdarzenie przytłumiło wszystkie wrażenia. Przez niesłychany tłok gości, zaledwo mogliśmy się dostać do kółka znajomych które otaczało parę cesarską.

Tańce były rozpoczęte. Do walca i „szalonego galopu“, jak go wtedy tańczono, stawali panowie w samym środku; koło ścian trzymali się widzowie, aby zostawić szeroką arenę tańczącym. Cesarz ze swymi dygnitarzami stał w samym środku górnej części salonu przypatrując się wirowaniu tańczących. — Moja młoda wyobraźnia olśniona i odurzona tym co oczy widziały, była w upojeniu. Ten mocarz półkuli ziemskiej, ten cały jego dwór, te galowe jego ubiory, brylanty, muzyka, oświetlenie, wszystko od razu w jednym zawarte obrazie, były istotnie czemś czarującym!...

W tej chwili, jeden z adjutantów W. Księcia Konstantego, (dziś nie pamiętam który) przyszedł angażować mnie do przetańcowania tego ogromnego koła, w którym tańczący przebiegali obok samego cesarza. Powróciwszy na to samo miejsce, z zawrotem fizycznym i moralnym, słyszę w tej samej chwili, jak ktoś mówi z boku półgłosem do mnie:

— Widzi pani, jak ten autokrata groźnie na nas patrzy?

Obracam się i kogóż widzę?! Artura Zawiszę... On mówi do mnie dalej:

— Przypominam pani obiecany taniec.

Co za zmiana tancerzy!... Przestałam tańczyć z adjutantem W. Ks. Konstantego, a teraz mam za-

cząc z jednym z naczelników konspiracji! Dreszcz przejął mnie na wskrós, stanęły we wspomnieniu wszystkie rozmowy, groźby, zachcianki i tragiczne obietnice mego teraźniejszego tancerza! Wszystko w jednej chwili stanęło mi w oczach i zapytanie wewnętrzne zabłysło w sercu: „czy też ten fosforyczny zapalenić nie zrobi jakiego szaleństwa“, albo „czy nie jest wyznaczonym na skrytą i straszną misję?“ — Zaledwo to pomyślałam, już byłam żelazną wolą porwaną do tańca!

Mój tancerz był jeden z tych typów idealnych, którego każdy wielki mistrz wziąłby do swego obrazu, aby uwydatnić zapał, odwagę, szlachetność w formach uroczych jednej istoty! Muzyka doszła do tych części, które nie tylko tańczących, ale nawet grających porywa swoją szalono-ożywioną i huczną harmonią. Człowiek odurzony już nie wie, nie rozumie, nie czuje, co chce i co nie chce, tylko jak listek porwany przez gwałtowną burzę, leci z ziemi aż pod niebo, aby po chwili znowu spaść pomiędzy ludzkie rozkosze!... W takim to odmęcie pary, które za nami dochodziły, pędem swoim niepohamowanym, uderzyły jedna o drugą, a najbliższa trącając nas gwałtownie i niespodzianie, zachwiała mego tancerza i mnie. Kiedy już nachylona byłabym bezwątpienia padła, któryś z wojskowych podtrzymał mnie raptem silną ręką i zawoławszy przestraszonym głosem: „*L'Empereur!*“ Równocześnie ponad przechyloną głową, ujrzałam tuż obok siebie surową twarz cesarza Mikołaja, który się wcale z miejsca nie poruszył.

Zdarzenie to nie byłoby wcale szczególne, i mogło się nieraz cesarzowi zdarzyć być uderzonym nieu-

myślnie przez tańczących na publicznych salach; ale dla mnie była to scena wewnętrznego dramatu. Nie spostrzegłszy zrazu obok siebie Zawiszy, nie umiem opisać, jaka mnie ogarnęła wtenczas śmiertelna trwoga!... To tylko jasno w mej myśli stanęło: Zawisza tak blisko Mikołaja! Któż mógł wiedzieć, czy on wtenczas istotnie nie był wyznaczonym... Dzisiaj w czasach takich spokojnych, nikt tego położenia nie zrozumie, i niejedyn może będzie miał te uczucia za przesadzone; ale kto żył w tej epoce, i należał z biegu okoliczności do obydwóch prądów, ten zrozumie co to było za piekło moralne dla Polaka, zmuszonego ocierać się o tych, których nienawidził, a którym po świeżych a ciągłych okrucieństwach, miał ochotę tą samą bronią rachunek wyplącić.

Po tej przypadkowej scenie, którą opisałam i nigdy nie zapomnę, już nie widziałam nieszczęsnego młodzieńca.

W lat dwa czy trzy później, bo zdaje mi się w roku 33-cim, któż nie czytał z przerażeniem okropnego opisu śmierci Artura Zawiszy, co wybrany z innymi za emisariusza, był wysłany do kraju, z niesłychaną gorliwością i zapałem rzucał się na najniebezpieczniejsze wyprawy, wszędzie podpalał ten ogień święty, w którym tleje nadzieja oswobodzenia kraju od najeźdźców, aż w końcu schwytany, padł ofiarą okrucieństw rządu rosyjskiego. Więziony w najokropniejszych lochach, przechodził przez głód i tortury z tym męczeńskim hasłem, jaki Bóg ludziom wybranym daje w wielkich i szlachetnych sprawach! W końcu skazany na haniebne powieszenie, czekał wyroku z rezygnacją i odwagą, ale nie bez nadziei,

bo wiedział, że matka, ta nieszczęśliwa matka, którą tylko Polki zrozumieć mogą, miała przed sobą dwa straszne nieszczęścia: syna skazanego na powieszenie i padnięcie do nóg księciu Paszkiewiczowi, prosząc o jego ułaskawienie. Walka między dumą matrony polskiej, a miłością macierzyńską, była walką dwóch przeciwnych prądów z których raz jeden, drugi raz drugi zalewał serce rozpaczliwej kobiety. To widziała syna pod szubienicą, to znowu siebie klęczącą przed jego tyranem. W końcu miłość macierzyńska zwyciężyła i zadławiła uczucie egoistyczne. Poddała się upokorzeniu w nadziei ratowania dziecka. Ale inaczej było wtenczas pod srogiem niebem warszawskiem zatwierdzono. Paszkiewicz patrzył dumnie na klęczącą we łzach matkę i proszącą o przebaczenie synowi, który ognia dwudziestu wiosen nie mógł zagasić i przytłumić. Z okrucieństwem odtrącił silnie Paszkiewicz panią Zawiszynę od siebie i wszystkiego odmówił. W tej chwili ona, przed chwilą jeszcze podobna do żaławionej pod krzyżem Matki Zbawiciela, powstała jak lwica, której wydarto z objąć dziecko; a nie mogąc rzucić się, by rozszarpać nieprzyjaciela, stanęła jak posąg dumy i boleści i poczęła przeklinać, i przepowiadać wszystkie nieszczęścia, plagi i ciężkie konanie, które czekają ludzi bez serca i bez duszy!... Opowiadali ówczesni świadkowie, że po tym wysileniu, zemdloną straż wyniosła z kancelarji Paszkiewicza.

W lat niewiele po tym strasznym zajściu i po wielu przejściach księcia Paszkiewicza, dotknęła go kilkuletnia ciężka choroba i jedna z najboleśniejszych — śmierć. Wiele osób wiarogodnych mówiło nam,

ze w ostatnich dniach i godzinach życia, które się w okropnych torturach skończyło, Paszkiewicz ciągle chciał uciekać i wyskakiwać z łoża, bo ciągle widział we wszystkich stronach swojej komnaty czarną postać, która nań nieustannie przekleństwem ciskała.

4. Podlotek w obozie.

Kilka dni przed wyjazdem do Wielkopolski zostałyśmy z matką zaproszone na pożegnalny podwieczorek przez naszych znajomych oficerów, którzy podówczas obozowali pod Warszawą na Powązkach. Towarzystwo liczyło kilka pojazdów, przyłączyły się do nas bowiem żony wojskowych: generałowa Cedrowska z córką, znowu należała do nas wesoła generałowa Blumer, jako i pani Wielhorska z córką.

Wsiadli także do naszych pojazdów generałowie Pac i Chłopicki. Nikt z nas wtenczas nie przeczuwał, że ten dawny wojskowy, co obok nas siedzi, będzie za miesiąc kilka naczelnym wodzem i dyktatorem.

Pogoda w tym dniu była prześliczna. Wzięłam na siebie lekki płaszczyk ze szkockiej materji w duże czerwone kwiaty klonu Walter Szkota i okrągły włoski kapelusz *à la Parnella* obsypany makami i bławatkami. Obszerną landarę z olbrzymimi wystającymi resorami, unosiła szóstka przepysznych rumaków; były to konie wybrane przez gen. Prądyńskiego w znakomitej podówczas stadninie księcia Razumowskiego. Nigdy nie zapomnę tej wspaniałej uprząży i nigdy żadnych koni, jak tych, nie podziwiałam z kształtu i doboru. Mijałyśmy w mgnieniu oka pałace, rynki i ulice, aż nadeszło wreszcie balsamiczne powietrze alei i ogrodów, a wkrótce za nimi

ujrzeliśmy niebotyczne maszty, chorągwie i namioty na rozległym obszarze, gdzie się nasz obóz rozciągał.

Nikt dzisiaj tego uczucia nie zrozumie, którym kołysana i przepełniona była dusza moja, kiedy razem w przyrodzie całej i w sercu ta sama świeciła wiosna, a pojazd szybkim pędem wjeżdżał do polskiego obozu! Cóż to za chwila była, kiedy się oko potoczyło po nieprzejrzanym a szerokim horyzoncie, w pośród którego ukazało się 40.000 naszego wojska. Podziwiało się niesłychany porządek, systematyczną regularność, a nawet elegancką wykwiutność, która od razu wpadała w oczy. Ulice z szałasami i namiotami szły wszerek i wzdłuż, w niektórych miejscach krzyżując się, tworzyły małe place, w pośrodku których były wodotryski, otoczone klombami kwiatów. Każda broń miała swój osobny oddział, piechota, kawalerja i artylerja były częściowo reprezentowane. Trudno opisać różność i gustowność ogródków, które otaczały namioty wyższej rangi wojskowych. Ławeczki, klomby, kwiaty na zielonych trawnikach zdobiły front tych wojskowych ustroni. Tam znajdowały się corocznie namioty jenerałów: Blumera, Różnickiego, Krukowieckiego, Weysenhofa, Szembeka, Potockiego, Kurnatowskiego i wielu innych. Ogromne czworoboki, obsypane były małymi jednakiego kształtu namiotami, pomiędzy którymi roili się prości żołnierze. Pocziwa nasza wiara, wzięta w wojskowe karby, pracowała w milczeniu, ale wesoło, jakby jakie mrowisko, wzięte w ścisłą subordynację. Jedni trzepali mundury, drudzy czyścili pałasze, inni ustawiali w kozły pozostałą broń, której część pewna w długich i świecących stała szeregach. Z daleka

widać było białe kłęby dymu i pary rozszerzające się w powietrzu, wychodzące z olbrzymich, kuchennych kotłów, z pod których nieśmiało, i jakby wstydliwie wyciskały się blade płomienie ognia, przygaszone jaskrawym blaskiem słońca. Tu i ówdzie w zaciszu i cieniu poza namiotami, stali wsparci na pałaszach i karabinach młodzi żołnierze przed rozprawiającą i siedzącą na ławkach starszyzną. Po wyrazie twarzy i nieruchomym oku słuchaczy widziałam, że musiały to być zajmujące opowiadania. Bezwątpienia rozprawy o tych bojach, w których ponieśli blizny świecące na czołach, opowieści o tych krzyżach co zdobyły piersi!

Mówcom oczy iskrzyły się, ręce ruchami pokazywały, jak szli na bagnety, jak rąbali pałaszami doścignionego nieprzyjaciela, jak z radości i szczęścia po wygranej wznosili dziękczynną modlitwę do Boga. Choć z daleka rozumiałam i czułam, że starzy Napoleońscy żołnierze już się nudzić poczynają w tym piętnastoletnim pokoju, widać było, że ich dusza rwała się do tych chwil, gdy znowu zagrzmią i zahuczą armaty!

W innej stronie słyhać było zdala stąpanie i rzenie koni; za nimi widniały groźnie armaty. Była to, zdaje mi się, jedna bateria konnej artylerji, bo reszta stała w okolicznych wsiach. W tej to właśnie służył wyżej przezemnie wspomniany porucznik, późniejszy generał Frölich, jako i ks. Władysław Lubomirski z Równa. Obok artylerji stał oddział ułanów. Już z daleka były w oczy artystycznym swym ustawieniem wysokie i różnobarwne chorągiewki. W tych ułanach służył wtenczas w stopniu

porucznika Mikołaj Kamieński, słynący ze swej nieustraszonej odwagi i z marsowego uroku.

Przy wjeździe do obozu witane byliśmy przez wojskową muzykę i całe zgromadzenie naszych znajomych. Każdy dopraszał się o pierwszy wstęp; bo kilku z tych panów miało przygotowane podwieczorki, aby uraczyć u siebie i obchodzić warszawskich gości. Swoboda i wesołość, szczebiotanie a może i trochę zalotności rozlegały się szeroko wśród balsamicznej woni kwiatów i odległych tonów wojskowej muzyki.

W tydzień po tym wspaniałym dniu, w którym wracaliśmy do miasta, wśród obozowych ogni, choralnych śpiewów, w ctoczeniu kawalerzystów na dzielnych rumakach, — już nas unosiła poczta na szerokiej szosie, prowadzącej z Warszawy przez Łowicz i Sochaczew do granicy Wielkopolski. Prawie to samo towarzystwo obozowe odprowadzało nas do Błonia, gdzie po przepręgu i po krótkim śniadaniu niejedno serce ściśnione kryło w głębi co czuło; niejedna drżąca dłoń drugą uścisnęła; niejedno oko pod męską brwią zabłysło wstrzymywaną łzą! Tą łzą, co mówi z wewnętrznym smutnym przecuciem: „już się nigdy nie zobaczymy!“

LIŚCIKI DO PANA MICKIEWICZA
(1833)

Ewunia była bardzo wątpliwa, więc ją państwo Ankwiczowie wzięli w r. 1827 do Włoch. We Włoszech poznała w r. 1829 dwóch bardzo miłych ludzi: pana Odyńca i Mickiewicza, o którym już wtedy mówiono, że jest wieszczem. Ewunia rozmawiała z poetami o Byronie i Dantem, i grała im na fortepianie, a potem zakochała się w panu Adamie, który pisał do niej czule wiersze, choć jeszcze nie zdołał zapomnieć o Maryli. Romantyczna panna rada była poślubić poetę, hrabina matka sprzyjała także marjażowi, ale papa (stolnik z „Pana Tadeusza“) wyperswadował im te amory. Ewunia wyszła za hr. Sołtyka, a potem za p. Kuczkowskiego.

Resztę opowiedzą trzy listy, przemiłe, bo takie romantyczne w każdym zdaniu i przecinku!...

1. W maju roku 1830.

...Z ukontentowaniem biorę się do wypełnienia mojej obietnicy opisanie kaskady „delle marmore“ w Terni, a chociaż czuję, iż na to bieglejszego potrzebaby pióra, jednak zaufana w dobroci Pana i pewna, że przebaczy nieudolność swej „siostry“, zaczynam to dzieło. Miasto Terni jest w bardzo przyjemnym położeniu na wzgórzu, pośród łąk naj-

piękniejszymi kwiatami ubarwionych, nad rzeką Mezi. Z Terni do kaskady jest 5 mil, z których trzy lekkim pojazdem przebyć trzeba, zaś resztę drogi na osłach. Przez piękną ulicę pomarańczową przechodzi ścieżka, która prowadzi na dół, aż do miejsca, gdzie ten spad wody w całej swej szerokości, do przepaści okiem nieprzejrzanej się rzuca; lecz natychmiast przemienione w wapory wody te jak obłoki gęste wracają się do góry i przykrywają nawet powierzchnię skał!

Druga gałąź rzeki, niespadająca do przepaści i płynąca dalej, formuje drugą kaskadę, a później jeszcze trzecią, gdzie już jest mała ilość wody i tylko zdaje się z trudnością sączyć po kamieniach, aż do momentu, gdzie z Nerą łączy się w dolinie. Nie jedna, lecz dziesięć tęczy na wszystkie strony spozstrzegają się, osobliwie w tej godzinie, gdy zwiedziliśmy kaskadę, to jest przy zachodzie słońca i w tymże czasie wszystkie skały przeróżnymi kolorami okrywając się, przedstawiały widok przedziwnie malowniczy. Z góry znowu, w zupełnie odmiennym obrazie, kaskada naszym oczom się pokazała; ta ogromna masa wody, którą stąd lepiej objąć można było, przy świetle księżycy widziana, zupełnie nas zajęła, bo dopóki ją tylko z dołu widziałam, przenosiłam Tivolską nad nią. Wracając pieszo, słyszeliśmy śpiew słowików, których zdaje się, iż znaczna liczba mieszkając sobie obrała w krzaczkach nad kaskadą rosnących; wieczór był śliczny, spokojny, i gdyby nie mocny ból zębów, byłby zapewne przyjemniejszą pamięć mi zostawił.

Może też to ten ból jest przyczyną, że się jej

źle przypatrzyłam i tak niedokładnie opisałam. Jakkolwiek jest, niechaj pan widzi w tym tylko dobrą chęć, od zawsze dobrze mu życziwej

Henryetty Ankwicz.

List mamy dobrodziejki.

Z Rzymu, 11. marca 1833.

Już to czwarty ten list od nas do Pana Dobrodzieja, a o żadnym ani wzmianki czy je odszukałeś, co nas bardzo martwi i niepokoi. Zdaje nam się, iż w niczem nie zasłużyliśmy sobie na takie srogie milczenie. Szukamy wszelkiej sposobności zapewnienia go o tej szczerzej prawdzie. A może zanadto naprzykaszamy się tą częstą korespondencją, tak jednak nawykliśmy ufać w jego przyjaźń i dobroć, że na moment nie pomyślimy o jej zmianie. Ileż wdzięczności winniśmy panu Montalembert, że nam doniósł o panu Mickiewiczu i przysłał nam czwarty tom poezji jego i boskie *Księgi Narodu Polskiego*. Jestto jedyne szczęście i jedyna pociecha dla mojej familii od czasu rozstania się przykrego z naszym Panem. Kiedyż znowu zobaczymy się razem? Zdrowie Henryetty jest cokolwiek lepsze jak w zeszłym roku, ale przecie nie jest takie, żeby można być o nie zupełnie spokojną. Mnóstwo nieszczęść domowych, śmierć brata męża mego, Marysi tęsknota za siostrami, ludźmi, za krajem, to wszystko wzywa nas do powrotu i w pierwszych dniach maja porzucamy Włochy po pięcioletnim pobycie. Może sobie pan łatwo wyobrazić żal mojej familii za krajem, w którym tyle

miłych pamiątek pozostaje. Obym przynajmniej jeszcze uzyskała Pana odezwę przód? Będzie ona jedyną łaską dla mnie i nią wszystkie przykre momenta słodzić sobie będziemy, nim Bóg dobry da nam się oglądać w naszej ojczyźnie wolnej, niepodległej, w co ja jak najmocniej wierzę, bo istota sprawiedliwa nie odrzuci tylu ofiar, krwi i łez przelanych, a całe przyrodzenie zbudowane na prawie codziennej zmienności, prowadzi do tego przekonania, że gdy nic stałem na świecie być nie może, nieszczęście także uwiecznić się nie może, a jak przemijają chwile błogości, tak i niedola się wyczerpuje; przyjdą dla nas chwile pokoju ufam i wierzę mocno, a ufam Bogu jednemu sprawiedliwemu i kończę to nudne pismo, oddając pióro mej córce, która sama Panu wyrazi żal i cierpienie jakie nam przynosi jego zapomnienie o nas. Popraw się Pan i wierzaj całej mocy mego szacunku, z którym do śmierci zostaję jego sługą

Ankwiczowa.

Mąż mój kłania się Panu bardzo, od kilku dni na podagrę, chory, w łóżku leży.

2. Ewunia bardzo tęskni.

Z Rzymu, 11. marca 1833.

Ze smutkiem wyznać Panu muszę, iż nigdy nie spodziewałam się, byś nas Pan chciał tyle martwić milczeniem tak długim, tak srogim. Czyż Pan myślisz, że my mniej od niego czucia mamy, i że takie zapomnienie od osoby, od której najmniej spodzie-

wać się go mogliśmy, nie jest nam bardzo przykrem? Ja już inaczej tłumaczyć go nie umiem, jak przez niecierpliwość poczty, lub też sądzę, że Pan zajęty swymi interesami, nie chodzisz pocztę pytać o listy, gdyż nasze trzy poprzednie koniecznie go powinny do odpisu zmusić. P. Rzewuski przeciwnie chwali się, że Pan do niego pisujesz, więc tak my jedni tylko nie możemy tego szczęścia otrzymać, ani od niego listu doczekać się. Od tygodnia mamy poezje Pana tu, są dla nas nieprzebrany źródłem pociech i przyjemności! W całym polskim towarzystwie o niczem innem nie rozmawiają, jednogłośnie je uwielbiają, każdy inaczej tłumaczy ten prześliczny kawałek: „Księdza Piotra widzenie“. Utrzymują, iż Pan masz w myśli jakiegoś nieznanego bohatera, mnie jednej to zdaje się zupełnie do Polski stosowane, nawet czterdzieści cztery, nazwisko, rozumiem być jakąś alluzją do tyluż lat jej niewoli, które od trzeciego podziału jeszcze nie upłynęły, a więc sześć lat zostawałoby do uwolnienia zupełnego naszej biednej ziemi. Czy tak jest, chciej Pan nam donieść! Jabym się mocno cieszyła, jeżelibym prędeż na myśl Pana trafiła, jak wszyscy teraz w Rzymie zgromadzeni ziomkowie. P. Rzewuski na moje tłumaczenie nie chce przystać na żaden sposób, a to najwięcej stąd, iż mu trenta tre (zakonnice) przepowiedziały w Neapolu, iż on Polski zbawienia nie doczeka się! Gdyby to więc za sześć lat nastąpić miało, termin życia jego byłby już bardzo krótki. Z innej strony cieszy się, bo też sama przepowiednia co do Marysi powiada, iż pójdzie za bardzo znakomitego w narodzie polskim rycerza i wtedy już Polska będzie cała. Ach! gdyby to szczę-

ście Bóg nam dał widzieć! Odpisz nam Pan na ten list, najmocniej upraszam o łaskę, a jeżeli Pan nie będziesz to sądził natręctwem, z Polski jeszcze ośmielimy się pisywać do niego i przypominać się jego pamięci. Jeszcze raz proszę nie zapominać tak zupełnie o tej, którą Pan swą siostrą nazywał. Marcelina śliczne ukłony dołącza Panu; za broszury pierwszej przysłane i teraz znowu przez p. Montalembert obiecane najserdeczniej dziękuję. Są to prawdziwe dla nas skarby!

Henryetta A.

3. Smutny dopisek do listu matki.

Rzym, 15. kwietnia.

Czy też choć ta odezwa będzie szczęśliwszą od tyłu innych i zyska nam od Pana kilka słów odpowiedzi? Nie wiem, ale przyznaję się, iż zaczynam o tem wątpić, abyśmy mieli jeszcze kiedy ukontentowanie odebrać od niego list, a jednak smutno bez tej nadziei Włochy opuszczać. Niech jednak jakkolwiek bądź ta nasza wytrwałość w pisaniu do Pana, i te kilka słów będą mu dowodem najszczerzej przychylności, jaką mu zawsze dochowa

Henryetta.

P. S. Oddawca tego listu opowie Panu jakim skarbem dla nas są jego księgi i poezje. Pierwsze Ventura po łacinie chce przełożyć i wszyscy im sprawiedliwość oddają, co mnie mocno cieszy.

4. Po latach piętnastu...

Kraków, 9. marca 1848.

...Ani wiem, jak ten list trafi do Medjolanu. Szeregi wojsk, tak nam jak i Włochom nieprzyjaznych, dzielą nas od tego kraju. Wyczytawszy jednak w naszym tu krajowym dzienniku (które dzięki rewolucjom wiedeńskim, teraz nie noszą więzów, nie są spętane) iż Pan jesteś w Medjolanie i tam legię polską formujesz, na tę wiadomość, na wspomnienie Medjolanu wraz z Pana nieśmiertelnym nazwiskiem, powstała we mnie chęć napisania choć kilka słów do Pana i tej ulegam w tej chwili. Możebym nie była śmiała po tylu latach milczenia przerywać go, w tak ważnych chwilach, lecz w tych dniach wróciła do nas, po dwuletniej podróży, p. Sidorowicz, która mi wiele o Panu mówiła; zapewniła, że jeszcze o mnie wiele wspominać raczysz, w dowód czego wręczyła mi pierścionek, który przed 18-tu laty w Rzymie naznaczył smutną rozstania godzinę. Te pamiątki świeżo odzierały w mej duszy i stąd dziś wypływa ten list. Jeżeli go Pan odbierzesz, chciej odpisać parę słów; przez pamięć na dawno ubiegłe chwile, nie odmawiaj mi tej łaski, donieś mi Pan obszernie o sobie, o nadziejach, jakie z teraźniejszych ruchów Europy nastąpić mogą dla Polski. Czy będziem samoistnym narodem? Czy też porzuciwszy tę słodką ułudę, już tylko w panslawizmie odrodzenia naszego szukać mamy? U nas głucho i smutno, ale nie cicho. Niedawno bombardowali Lwów, biedne, spokojne nasze miasto, za to, że przytułek dało braciom powracającym z emigracji, żeby wskutek tych wypadków przez

nich wywołanych, wyjąć nas z pod prawa, które rządzi niby tą całą monarchią. Im więcej w Wiedniu wymagań i koncesji, tym nas więcej duszą i tłoczą, bo między rządami prowincjonalnymi a stolicą żadnego już prawie związku niema. Siły powstania jednak nie mamy, gdyż co najgorsza, z naszych włościan zrobiono nam nieprzyjaciół, zawsze gotowych rzucić się na nas, gdyby im to rząd nakazał jak się w 1846 r. stało. A gdy który właściciel sam darował grunta, najsurowiej go za to karano, bo trzeba było, aby nagroda szła od rządu, który z tej okoliczności jedynie korzystał. Tysiąc podobnych faktów mogłabym Panu opowiedzieć, jako dowody fałszu i niegodziwości. Od dwóch dni mówią u nas, że Rosjanie wchodzą tu i do Galicji, aby ruszyć na Wiedeń i tam powrócić siłą bagnetów dawny stan rzeczy. Będzie to może sygnał wojny powszechnej, której rezultat w ręku Boga!

Nie wiem czy Pan wiesz, że mam teraz syna i córkę, Stanisława i Zofię. Mój chłopczyca ma trzeci rok. Mam w Bogu nadzieję, że będzie poczciwy człowiek i dobry Polak. Kończę, bo w zupełnej niepewności pisząc, czy ten list dojdzie swego przeznaczenia, nie chcę go dłużej przeciągać, a potem i Pana chwile zbyt drogie by je czczyimi listami zajmować. Jednak o odpis proszę, a przytem o przebaczenie za moją śmiałość, która nic innego nie jest jak wiara w starą jego przyjaźń, której się polecam.

Henryetta Kuczkowska.

DEOTYMA IMPROWIZUJE!

(1852)

Improwizacje panny Jadwigi Łuszczewskiej poruszyły całą Polskę. Wydawały się wielu znękanym ludziom „szczęśliwą łaską Bożą dla ziemi mogił i krzyżów“. Do salonu przy ulicy Misjonarskiej zbiegały się od r. 1852 łaknące słowa rzesze, nawet margrabia Wielopolski raz posłuchać przyjechał, nawet Mickiewicz w rymach cud podziwiał. Więc się zdawało młodziutkiej Deotymie, że jest wieszczką wybraną. Jakie były początki improwizacji opowiada tu dokładnie. Ale, rzecz dziwna, z tych zwierzeń, gładko toczonych wieje ziąb jakiś, tenże sam, co z wszystkiej poezji Deotymy...

...Po wielu namysłach rodzice zawyrokowali, że trzeba mnie już chyba przypuścić do zebrań poniedziałkowych. Sprawiono mi pierwszą długą sukienkę, białą, z okrągłą, przejrzystą pelerynką, która u piersi spinała się na kokardę blado-lila. Włosy miałam jeszcze dosyć krótkie, nosiłam je więc na sposób zwany wówczas „à la Jeanne d'Arc“, to jest zwieszane wkoło głowy i w lekki pukiel podwinięte. Odtąd tedy (to jest od ostatnich tygodni 1849 roku) co poniedziałek już siadałam w salonie, ale w kątku

i prawie niewidzialna, bo schowana za wysoki fotel. Tam, nad robótką pochylona, przysłuchiwałam się rozmowom, nie podnosząc oczu na nikogo i drząc, gdy przychodziło nawlec igłę. Skończył się był dla mnie wiek dziewczynkowej hardości. Teraz ogarniała mnie nieśmiałość, posunięta częstokroć aż do cierpienia. Byłam zazwyczaj zadumana i małomówna.

Ach, bo też to życie, którego się tak lękałam, wcześniej swych gróźb dotrzymało. Już wtedy w mojej duszy tkwił niejeden ciernik, już byłam wtajemniczona w niejedno zmartwienie rodzicielskie. Rozmyślałam nad życiem — i milczałam. Jednak z innych względów byłam dla rodziców w owym czasie powodem niemałego zmartwienia: wszystkie moje domniemane talenta jakoś niechciały dotrzymać obietnic. W dzieciństwie miałam niezaprzeczone i podobno wysokie zdolności do muzyki. Uczący mnie, Józef Sikorski, świetnie pokładał na nich nadzieje, a ja uprawiałam fortepian z niesłychanym zapalem, bo celowanie w muzyce było szczytem najmiłszych moich marzeń. I piórem władałam nie najgorzej, tak w prozie, jak związanej mowie, i nikt z domowych ani z przyjaciół nie wątpił, że i na tem polu pójdę coraz dalej. Tymczasem po nieszczęsnej owej chorobie, co mnie w samym początku mojej młodości zwarzyła, wszystkie owe uzdolnienia gdzieś przepadły, jakby je kto urzekł. Miłość do muzyki została, ach, i jeszcze gorętsza, niżeli kiedykolwiek, ale dar wykonawczy znikł bez śladu; czułam dobrze, jak powinnam zagrać, ale palce nie chciały słuchać duszy. A mój nauczyciel chodził po pokoju, biorąc się za głowę i utyskując: „Czy mi zamieniono uczennicę, czy co?“

Równie ciężko szło z piórem. Ja, co nie umiejąc jeszcze czytać, już umiałam improwizować; ja, co w dziewiątym i jedenastym roku życia pisywałam już całe poemaciki, teraz nie mogłam skleić dwóch porządných rymów. Nieraz cały tydzień męczyłam się nad jednym czterowierszem — i jaki to był czterowiersz? Ktoby uwierzył? Już nieomal w kolebce posiadałam poczucie rytmu, a teraz, o zgrozo! musiałam częstokroć na palcach odrachowywać zgłoski, bo nie *czułam* dobrze ich liczby. Nie dziw zatem, że moi rodzice (jak później mi powiedziano) bardzo się między sobą troskali nademną. Pracowałam co prawda zawzięcie, po całych godzinach dręczyłam nieszczęsny fortepian i nieszczęśliwe uszy naszych sąsiadów, zabazgrywałam różnobarwne arkusze, raz wierszem, drugi raz prozą, ale wszystko to były lichoty, nie mogące nawet iść w porównanie z mymi dziecinnymi pracami, tem lichsze, że napuszyste i przesadne, jak wszelka rzecz wymuszona.

Taki stan trwał przez dwa lata — rok 1850 i 1851. Dopiero z chwilą napisania „Krucyat“ zaszła we mnie dziwna zmiana. To jakby kto kurek odkręcił i wnet zdroj poetyczny rzucił się z niewidzialną dotąd obfitością. Widocznie owa komórka twórcza po długim śnie wypoczęła i teraz aż wzbierała od nagromadzonych pocichutku zbiorów. Teraz już nie potrzebowałam liczyć zgłosek, ani wyszukiwać przedmiotów do opisu, przeciwnie, cokolwiek pomyślałam, wszystko mi się samo układało w rytmiczne i rymujące dźwięki, a setki przedmiotów prosiły się same o kształty poemacików lub wierszy ulotnych. Co kilka dni nowa poezyjka powstawała.

Moi rodzice też już teraz inaczej mówili ze mną o moich świeżych pracach; najczęściej chwalili je bez wahania, czasem tylko czyniąc uwagi co do pojedynczych wyrażań lub zwrotów.

Jedna z takich rozmów stała nam się pamiętna. Było to jakoś około połowy maja. Siedziałam po obiedzie w pokoju mego ojca, który sobie przypominał razem ze mną, jak to w dziecinnych latach nieraz gadałam wierszami.

— Ciekawy jestem — dodał — czybyś też i teraz potrafiła tak improwizować?

— A i ja ciekawam — odrzekłam, — Niech tatko z łaski swojej poda mi przedmiot, a spróbuję.

Mój ojciec dał mi za przedmiot „Porównanie świata duszy do świata widzialnego“. Temat mnie zachwycił, gdyż był i bogaty i, moim zdaniem, bardzo łatwy; — podobieństwo dwóch światów samo w oczy było.

Namyśliwszy się nieco, wstałam i powolutku zaczęłam wierszem opowiadać. Ojciec mój okazał się zadowolony; rzecz cała istotnie była wcale dobrze zbudowana, tylko wypowiedziana słabo i lękliwie, bo jeszcze nie miałam wprawy, a wprawa, jak wszędzie, tak i w improwizacji, bardzo wiele znaczy. Ledwie skończyłam, wchodzi moja matka, pyta się, o czym tak żywo rozprawiamy. Gdy została objaśniona, zamyśliła się mocno... ja tedy mówię: „Gdyby mama chciała, to mogłabym i przed nią spóbować“. „Ani myślę — odpowiedziała. — Już jeśli masz się wysilać, to przynajmniej dla większej liczby słuchaczy. Trafi się do tego nie jedna sposobność. I wyszła z pokoju, ani myśląc mnie słuchać.

Ale owa sposobność trafiła się prędszej, niżeli mogłam sądzić. Następujący poniedziałek przypadał 17 maja (1852 r.). Nie spodziewałam się wówczas, że i ten dzień będzie ważną dla mnie datą. Wieczorem przyszło do nas około dwudziestu osób. W małym tym kółku matka moja dała jednemu z panów do głośnego przeczytania mój ostatni wierszyk p. t. „Pielgrzym“, a gdy przeczytano i gdy goście wycedzili nieco pochwał, odezwała się na wielką moją trwogę:

— A czy wiecie państwo, że nasza córka nie tylko pisze, ale także improwizuje?

Tu sypnęły się zapytania: „Jako? Improwizuje? Bez przygotowania? Po polsku? Wierszem? I to jeszcze na dany temat? No, no...“ A gdy obecni kręcili głowami, zwróciła się do mnie i dodała:

— Wiesz co, Jadwiniu, zaimprowizuj nam co jeszcze dzisiaj. Tylko państwo znajdźcie dobry temat.

Goście byli zakłopotani. Żaden z nich nie miał wyobrażenia, co może być „dobrym“ tematem. Nakoniec Komorowski odezwał się nieśmiało:

— Najciekawszym podobno przedmiotem do improwizacji byłoby wypowiedzenie, czym jest sama improwizacja.

Przedmiot mi się podobał.

— I owszem — odrzekłam i, wstawszy, odeszłam do przybocznego pokoju, żeby się choć przez chwilę namyślić.

Byłam, co prawda, głęboko przerażona, bo to co innego improwizować przed rodzicami lub domownikami; tam, choć się nie uda, to korona z głowy nie spadnie i wszystko się skończy na wesołym.

śmiechu. Ale wobec gości, i to literatów, i jeszcze dla osoby tak nieśmiałej. O Muzy! ciężka to była chwila.

Jednak posłuszeństwo daje tyle odwagi, że otrząsnęłam się z obawy, plan ułożyłam na prędce i po kilku minutach już stałam przed gośćmi. Tu znowu przyszła chwila strachu, teraz już śmiertelnego. Miałam wrażenie osoby, co spogląda w przyszłość. Jednak siła woli znowu przemogła, zebrałam nagle myśli, zapomniałam nagle o słuchaczach i zaczęłam wypowiadać wierszem zdanie, że całe życie ludzkie jest jakoby improwizacją, tylko wyrażaną nie w słowach, ale w czynach. Szczęśliwy, kto umie je wyrazić według rytmu sumienia i według praw boskiej harmonii. Szczęśliwy, kto z życia swego potrafił uczynić poemat!

Kiedy skończyłam, wówczas dopiero przypomniałam sobie, gdzie jestem, kto mnie słucha i odetchnęłam całą piersią, jak osoba, co wychodzi z wielkiego niebezpieczeństwa.

Łaskawe zdania słuchaczy wynagrodziły mi po części straszność przebytej chwili, jednak wyznaję, że tylko po części, bo wstrząśnień takich nic nie zrównoważy.

Wiadomość o improwizacji z dnia 17 maja nie zaraz się rozeszła, gdy nadszedł następny poniedziałek, prawie nikt o niej nie wspominał. Ale za to po dwóch tygodniach już całe nasze towarzystwo było tą wieścią zajęte i tak mocno zaciekawione, że tego wieczorą (31 maja) aż dwa razy improwizowałam, raz o *muzyce*, drugi raz o *malarstwie*. W trzy ty-

godnie później znów przypadły dwa tematy na jeden wieczór: *Gniewy żywiołów* i *Przyjaźń*.

Wszystkie te improwizacje zginęły bez śladu — stenografii nie znano jeszcze u nas. Dopiero w początku lipca mój ojciec wpadł na pomysł, czyby nie można spisywać wierszy połówkami, bo z całym wierszem niepodobna było się dogonić. Sam dał przykład, a dobrawszy sobie chętnych współtowarzyszy, tak rozdzielił pracę, że dwóch spisywało początkową połowę każdego wiersza, dwóch zaś pisało same jego końce. Pierwsza próba odbyła się dnia 5 lipca przy improwizacji, wypowiedzianej na temat zadany przez Korzeniowskiego: *Wiosna*. Gdy po wieczorze zabrałam się do tych czterech wązkich szpaltek, dostrzegłam z podziwieniem, że mogę z nich dość łatwo spleść pierwotną całość. *Wiosna* też była pierwszą improwizacją spisaną i drukowaną, a sposób okazał się tak wyborny, że odtąd zawsze go już używano, chociaż muszę wyznać, że podczas mówienia ta czynność pisarska, odbywana tuż przy mnie, bynajmniej mi nie pomagała. Wdzięczna byłam serdecznie osobom, które się trudziły dla utrwalenia mojej myśli, ale ten widok ich trudu, to podchwytywanie mnie na gorącym uczynku, mimowolnie mnie krępowało i jeśli mam prawdę wyznać, to najswobodniej improwizowałam wtedy, gdy nikt nie spisywał.

Jeżeli pomimo tej mojej powolności jeszcze ludzie powątpiewali o prawdzie improwizacji, cóżby dopiero powiedzieli, gdybym sama sobie wybierała tematy? A jednak ileż razy miałam ochotę to uczynić. Ileż razy częstowano mnie przedmiotami, które nie przystawały do mego usposobienia w danej

chwili. Lubiono szczególnie podsuwać mi zadania rzewne, słodkie, czysto liryczne, a nikt nie spostrzegł, że te są nietylko najuboższe, bo już od wieków i przez wszystkich poetów opiewane, ale dla mnie i najtrudniejsze — dwóch bowiem strun lirycznych nie mogłam dotykać: narodowej i romansowej.

Patrjotycznych uniesień musiałam się wystrzegać w improwizacji, nietylko z powodu cenzury, ale i z powodu wielkiej liczby moich słuchaczy, między którymi mogli być i goście dwulicowi — towarzystwo warszawskie aż roilo się wtedy od podobnych osobistości, a żaden salon nie zaciekawiał ich tyle, co nasz...

Byłoby istnem szaleństwem dla kilku brzmiających frazesów narażać dom rodzicielski, tyloletnie istnienie poniedziałków, a nakoniec i moją własną literacką przyszłość. Trzymałam się więc, jak mogłam, na wodzy, jednak jeszcze nie dosyć. Było jednak w improwizacji mnóstwo wyrażeń, obrazów, a nawet i wykrzyków, od których słuchacze aż truchleli, ale czytelnicy wiedzieć o nich nigdy nie mogli, bo nim rzecz ukazała się w druku, cenzor starannie je z niej wypruł. Z tego to powodu improwizacje w druku przedstawiają się inaczej o wiele, niżeli wyszły z duszy.

Struny romansowej nietylko mogłam, ale i nie chciałam wówczas dotykać. Była to rzecz solennie umówiona z rodzicami, że do pewnych lat będę unikała tej dziedziny, niestosownej dla mojego wieku, a nawet i potem, jeśli przyjdzie mi śpiewać miłość, to raczej w książce, niżeli żywym słowem. Są dla wrażliwości niewieściej pewne odcienia tak wiotkie,

jak wiotki jest obrąbek, oznaczający wycięcie jej szaty.

Czasem tłómaczyłam gościom, jakie tematy najlepiej przypadają mi do smaku — i tak: lubiłam przedmioty, brane z nauk, ze sztuk pięknych, z dziejów, z historjozofii, bo te są niewinne, bogate, i po większej części jeszcze nie wyzyskane. Zwolna też nauczono się wynajdywać dla mnie zadania prawdziwie piękne. Tak powstały: „Taniec“, „Rzeźbiarstwo“, „Noc zimowa“, „Kamienie“, „Ptaki“, „Podróż myśli w świat dziejowy“, „Święty Augustyn“, „Astronomia“, — wszystko rzeczy szerszych rozmiarów. Było prócz nich i wiele mniejszych, z których mnóstwo niespisanych — przepadło. Nie lubiłam jednak tworzyć improwizacyj krótkich, bo kosztowały mnie tyle strachu co i długie, a nie pozwalały na szeroki rozmach lotu, i, co gorzej, zostawiały niezadowolenie w słuchaczach, którzy zawsze wtedy mówili z przekąsem: „O!... jakże dziś krótko... Może byśmy jeszcze co drugiego usłyszeli?“

Te jednak dłuższe improwizacje, które wyżej wymieniłam, wcale nie szybko po sobie następowały; aby je znaleźć w spisach poniedziałkowych, trzeba przebiec z jakie trzy lata. Bo też byliśmy nie łatwi do uproszenia.

Wprawdzie poza Warszawą krążyła pogłoska, jakoby z każdym poniedziałkiem powstawała nowa improwizacja, lecz była to czysta bajka. O ile sobie przypominam i widzę ze spisów, nigdy podobno nie improwizowałam przez dwa tygodnie z rzędu. Trafiło się to co drugi, co trzeci poniedziałek, czasem i jeszcze rzadziej. A wielkiej trzeba nam było wy-

trzymałości, aby się oprzeć tak licznym i gwałtownym żądaniom. Każdy prosił, jedni z miłości do poezji, drudzy z prostej ciekawości, inni jeszcze choćby tylko dla mody — z tej czy owej przyczyny, każdy chciał się pochwalić, że „już słyszał“.

Czasem też trudno było nie uleść przewadze wieku lub jakowejś sławy — przyjeżdżały najszanowniejsze matrony, schodzili się ludzie znakomici, często przybywający z najdalszych stron kraju, zaręczający, że przybyli tylko na dni kilka i to jedynie w celu słyszenia improwizacji. Tak odzywał się Józef Gołuchowski, margrabia Wielopolski, generał Morawski, Paweł Popiel i wielu, wielu innych. Jakżeż tu odmówić mężom tej powagi?

Nieraz więc musiałam przystać mimo niechęci, z jaką stawałam do improwizacji. Ta niechęć pochodziła nietylko z lęków, jakie mi zawsze towarzyszyły, ale i z tej prostej przyczyny, że nie przynosiły mi one żadnych natychmiastowych rozkoszy. Bo nie trzeba sobie wyobrazać, aby improwizacje miały wywoływać jakieś okrzyki uniesienia, jakieś porywające brawa — bynajmniej. Ówe osławione oklaski, które mi tylokrotnie wymawiano wierszem i prozą, w listach i gazetach, Boże mój, a toż ja ich wtedy prawie całkiem nie znałam.

Wrażenie improwizacji objawiało się zupełnie inaczej: bezgłębnem milczeniem, głuchym szmerem i... mamże powiedzieć? rodzajem przerażenia. Często kilkakrotnie osoby, o których zdanie dbaliśmy najwięcej, wychodziły natychmiast po improwizacji, nie powiedziawszy ani słówka, co nas niejednokrotnie zabolalo. Później dopiero przekonywaliśmy się z po-

dziwem, że te właśnie osoby wyniosły najgłębsze wrażenie.

Ludzie bardzo nam życzliwi mówili mi nieraz: „Czy wie pani? Słuchać improwizacji, to dla mnie jest prawdziwym cierpieniem... Ja tak się ciągle boję, aby pani nie zabrakło myśli, wyrażań, odwagi, że doprawdy ledwie oddycham...“

Jeżeli przyjaciele czuli podobne trwogi, cóż dopiero musieli czuć moi rodzice? Winszowano im córki-improwizatorki, a dalibóg nie było czego! Biedni, najukochańsi!... Co oni wtedy przechodzili!

Moja matka, z początku tak odważna, później trwożyła się więcej, niż ja sama. Przed każdą improwizacją uciekała do trzeciego pokoju, gdzie czekała, powstrzymując bijące serce i modląc się za mnie. Ojciec mój nie mógł uciekać; nie wypada przecie, aby oboje gospodarstwo zaraz opuszczali zgromadzenie; ale chodził blady i struchłały i tylko czynnością „spisywania“ zagłuszał trawiący go niepokój. Słowem wszyscy troje nie byliśmy na różach. Osobiste więc nasze uczucia nie mogły nam dać jasnego pojęcia o wrażeniu, jakie improwizacja sprawia na ogóle.

Dawały nam je tylko świadectwa uboczne, mianowicie: coraz liczniej garnące się tłumy słuchaczy, coraz częstsze i przychylniejsze głosy pism publicznych, a nakoniec i coraz większa liczba drogocennych listów, jakimi byliśmy zasypywani.

Prasa warszawska okazała się dla mnie wówczas nadzwyczaj życzliwą i tak w tej życzliwości jednogodną, a w jednogodności wytrwałą, że gdy z ubiegim trzeciego roku, niektóre głosy nieprzyjazne za-

brzmiały od wschodnich granic, to żadne z pism warszawskich nie chciało drukować nadsyłanych w tej barwie krytyk; tułały się one bez końca po różnych redakcjach, aż nakoniec wszystkie spłynęły do „Czasu“ krakowskiego, gdzie kilku przeciwnych mi krakowian umieściło całą ich wiązaną i dodało jeszcze do niej nie jeden własny listek. Nie zaraz to jednak się stało. A tymczasem owa jednogłośnie dobroć dziwiła mnie — wyznaję — niepomalu. Nie spodziewałam się jej wcale. Oprócz tysięcznych luźnych artykułów, pojawiły się już i poważne recenzje. Taki Aleksander Tyszyński pisał głęboko i pochlebnie. Taki Henryk Rzewuski, jeden z najbystrzejszych znawców poezji, jakich w życiu spotkałam, odzywał się niezwykajnie gorąco. Pani Eleonora Ziemięcka od pierwszego mego występu aż do ostatniego swego technienia zachęcała mnie słowem pełnym serca, piórem pełnym zapału, przyjaźnią pełną prześlicznych pomysłów. I tak, podczas któregoś z poniedziałkowych wieczorów przysłała tajemniczą skrzynkę z wianeczkiem laurowym, który, jako *pierwszy*, ucieszył nas i rozrzewnił mocno. Niemniej zaszczytnem było dla mnie dopraszanie się pism warszawskich i innych o jakikolwiek urywek, podpisany świeżym pseudonimem.

Jednocześnie z głosami pism publicznych, listownie odzywali się i najstarsi koryfeusze naszego piśmiennictwa. Naprzód klasycy: kasztelan Franciszek Salezy Dmóchowski, biskup Łętowski, choć tak dawno milczący, pierwsi raczyli przemówić do młodej panny w listach pełnych błogosławieństw i w pozycjach pełnych zachęty.

Chronologicznym porządkiem po klasykach podnieśli głos romantycy: A naprzód Odyniec, który za czasów pierwszej swojej bytności w Warszawie znał się poufale z moim ojcem, teraz napisał do niego prześliczną odezwę, poczem wszedł ze mną w rozmowę listowną; rozmowa ta przez długie lata, choć „nieznajomych i dalekich“, łączyła nas bardzo ściśle, aż przyszła i osobista znajomość, i owa szczerza przyjaźń, co stała się dla mnie równie miłą, jak chlubną.

Z Zygmuntem Krasińskim nigdy się nie spotkałam, bo człowiek ten przy całej swojej wielkości miał tak dzikie usposobienie, że ilekroć zjechał do Warszawy, siedział w swoim pałacu, jak zakłęty i nikogo nie widywał, prócz kilku wybranych. Przez nich to jednak doszła nas wiadomość o wielkiej życzliwości, z jaką czytuje on i ocenia moje próbki, a życzliwość takiego mistrza stała się dla mnie podniętą.

Ale czekał mnie jeszcze większy zaszczyt. Edward Rastawiecki, wróciwszy w owych czasach z Paryża, opowiadał nam, że gdy odwiedzał Adama Mickiewicza, ten z wysoką łaskawością wyrażał się o improwizacjach i nawet czytał mu wiersz, napisany przez siebie do improwizatorki. Nie mogliśmy darować Rastawieckiemu, że nie przywiózł nam tego wiersza! Trudno mu się jednak było i dziwić; w owych czasach niesłychanych postrachów i nieobliczonych trudności paszportowych, nikt nie miał chęci do przewożenia tajemnych przesyłek. Tymczasem wkrótce po jego powrocie zjawia się w „Tygodniku petersburskim“ wiersz takiejże treści, pod-

pisany literą M. Rastawiecki czyta go i poznaje wiersz Mickiewicza. To już była chluba nieledwie przestraszająca swym ogromem.

Rozumiałam doskonale, że wszystkie owe zachęty są mi dawane tylko jakby *na kredyt*, w przewidywaniu tych rzeczy, które powinnam kiedyś zrobić. Tak, *powinnam!* Ale czy zrobię? I jak je zrobić? To była moja troska nieustanna, to był zarazem i bodziec do pracy.

DZIECIŃSTWO WIELKIEJ ARTYSTKI
(1848)

Wielką artystką jest — Helena Modrzejewska, której dzieciństwo upłynęło pośród wrażeń niezapomnianych rewolucji r. 1848 w Krakowie i wśród nieustannej tęsknoty do sceny i ról bohaterских. Z szczerych, bez pozycy aktorskiej czynionych zapisków Modrzejewskiej widać, że jej wielki talent nie w oranżerji rozkwitał, lecz w twardej i zwyczajnej glebie życia!

Angielskie pamiętniki artystki, z których ten ustęp dla opowieści przełożyła p. Felicja Bałabówna wydano w r. 1911 w Ameryce, gdzie należą one do rzędu chętnie czytanych książek anglosaskich.

Urodziłam się 12. października 1840 r., jako jedno z dziesięciorga dzieci mych rodziców, a przeto nie mogłam oczekiwać szczególnie opieki od mojej matki. Młodsza moja siostra Józia i ja byłyśmy zdane zupełnie na opiekę ciotki, właściwie ciotecznej babki, Teresy. Kochała ona nas bardzo, dbała nadzwyczajnie o nasze zdrowie, ale starania jej o rozwój naszych małych duszyczek ograniczały się do skrupulatnego odmawiania pacierza z wieczora i zrana. Rosłam tedy pod wpływem natury, wśród zdarzeń codziennego życia i narodowych nieszczęść, wolna, ni-

czem niepowściągnana, kształtująca swój sąd o rzeczach ślepo i naiwnie. Miałam żywą wyobraźnię rozwijającą się pod wpływem czytanych ciągle poezji. Pomimo gorącego i burzliwego temperamentu zakorzeniło się w mojej duszy wiele bezmiernej czułości i tęsknoty. O ile pamiętam, nie znajdowałam nigdy przyjemności w obcowaniu z innymi dziećmi, które, zdrowsze odemnie, przeżywały mnie „Księżniczką z morskiej pianki“ lub „damą z długimi paznokciami“, to znowu „furją“ albo „płaczącą wierzbą“ lub też ze względu na moje częste wybuchy śmiechu „śmiejącą się sroką“.

Nieszczęścia, ogień, świst kul armatnich, huk pękających bomb, przemarsze wojsk, widok krwi i poległych oto nigdy nie zapomniane wrażenia, które wstrząsnęły moją dziecinną duszą, czyniąc ją nad wiek dojrzałą, budząc w niej pociąg do heroizmu, pragnienia wielkości, poświęcenia; słowem potrzebę osiągnięcia rzeczy niedostępnych. Nie było mi przeznaczonem umrzeć dla ojczyzny, tak jak o tem marzyłam i zamiast stać się bohaterką, musiałam zadowolić się grą ról bohaterek; zamieniłam zbroję na szyszki, a broń na słowa.

Ojciec mój Michał Opid był słuchaczem filozofji i nauczycielem jednej z szkół średnich w Krakowie. Urodzony na Podkarpaciu przyniósł na świat serce gorące, bujną wyobraźnię i wielkie zamiłowanie do muzyki. Kochał także ogromnie dzieci. Pamiętam jak podczas długich wieczorów zimowych siedział przy kominku i trzymając mnie i siostry na kolanach opowiadał nam różne bajki i historie. Umarł w 43 r. życia na suchoty, kiedy ja miałam zaledwie lat siedm.

Żywym kontrastem łagodnej natury ojca było usposobienie matki. Energiczna, ruchliwa, szlachetna, była jednak w swoich sądach popędliwą i nieraz później żałowała wypowiedzianych słów.

W 19 roku wyszła za mąż za bogatego mieszczanina krakowskiego Szymona Bendę, który był wdowcem, prawie o 30 lat starszym od niej. Umarł i zostawił jej kilku synów i nadwyrężony majątek. Dzięki jednak oszczędności i energii matki zdołała po kilku latach pracy uregulować swoje interesa, wtedy zjawiał się na jej drodze ojciec i tym razem było to małżeństwo z miłości.

* * *

Wczesną wiosną r. 1848. czuć było w Krakowie niepokój i podniecenie. Młodzi ludzie rozprawiali między sobą wiele, weseli byli, śpiewali najrozmaitsze kuplety o Metternichu i generale Castiglione. Dziewczęta, zajęte były szyciem biało czerwonych kokardek i szarf dla gwardji narodowej.

Pamiętam z jaką rozkoszą wręczyłam nici i wstążki pannie Apolonji, naszej młodej sąsiadce z trzeciego piętra, która szyjąc odznaki, deklamowała z zapałem patryjotyczne wiersze lub śpiewała sentymentalne piosenki. Jedna z tych pieśni, pamiętam opiewała strumyk, łąkę i kochanka, inna znów była bardzo długa, złożona z 4 strofek, z których trzy pierwsze kończyły się słowy: „Nie, nie, nie mogę i nie chcę“, a ostatnia brzmiała: „Tak, tak, mogę, chcę, kocham, kocham tra-la-la, tra-la-la“. Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego panna Apolonja zmieniała tak prędko swoje uczucia, ale wielbiłam ją za

te pieśni. Nuciała je ciepłym, melodyjnym głosem, który mi do serca przemawiał. Brat mój przyrodni Szymon Benda drwił z niej czasem, dowodząc, że jej mały, krzywy nosek mało ma wspólnego z sentymentalną i tragiczną poezją. Pomimo tego defektu panna Apolonja była wielką patriotką.

Pewnego dnia panna Apolonja oznajmiła mi szeptem, iż będzie wojna, iż młodzież krakowska uczy się gimnastyki i będzie się bić jak lwy, poczem zaraz zmieniła temat i zaczęła opowiadać mi bajkę. Kiedy doszła do chwili, gdy cudowna księżniczka ukazuje się w ślubnej sukni, wyszywanej perłami, a ja z zapartym oddechem wsłuchana miałam właśnie na ustach pytanie: cóż dalej? daleki huk armat obił nam się o uszy, a panna Apolonja z wyciągniętymi rękoma zaczęła wołać: „Wojna! wojna! Czyż ci nie mówiłam?“ Potem weszła do pokoju matka bardzo blada, potem kolejno wpadali moi bracia ogromnie podnieceni i opowiadali wszyscy razem o gwardji narodowej, o wygnańcach, o austriakach. Nazwiska generała Castiglione i br. Kriega ciągle były na ustach wszystkich, gdy w tym niezwykle hałas napełnił ulicę i zabrzmiał wielki krzyk: Budować barykady! W jednej chwili wszyscy mieszkańcy kamienic wypłynęli na ulicę, dźwigając łóżka, materace, krzesła, kanapy tak, że w krótkim czasie barykady jedna po drugiej zaczęły się wznosić. Ostatnia była na końcu naszej ulicy; wychylając się z okna mogliśmy nawet dojrzeć bagnety austriaków. Służące nasze pracowały z zapalem, taszcząc raz po raz ciężkie meble, sprzęty kuchenne i umieszczając je na szczycie chwiejnej struktury; wydostawały się na samą górę, nawo-

ływały austriackich żołnierzy, grożąc im czerwonymi pięściami i dając im różne zabawne, mało uprzejme przydomki. Cała ta scena wydawała się chwilami prawie krotochwilną. Mój brat Szymek, czternaścieletni wtedy chłopak, zeskoczywszy z barykady wpadł jak huragan do pokoju, gdzie wszyscy byliśmy obecni, krzycząc: „Dajcie mi miecz, rewolwer, wszystko jedno! Dajcie mi rożen, rożen, zakłuję tego generała z kokardką na czapce i upiekę go jak kurcze!“ Wybuchnęliśmy wszyscy wesołym śmiechem. Matka jednak obawiając się aby chłopak nie sprowadził jakiegoś nieszczęścia, schwyciła go za ręce i wypchnęła do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi na klucz. Słyszeliśmy jeszcze długo, jak tam biegał i krzychał: „Muszę go zabić! Puśćcie mnie! Muszę go zabić!“ W parę chwil później zaczęło się bombardowanie miasta. Mamusia kazała wszystkim zejść do piwnicy, Szymek także już ochłonął i nie robił żadnych pod tym względem trudności. Tam między dwoma braćmi wszczęła się kłótnia, bo Szymek nazwał Felka „Metternichem“.

Jak daleko pamięcią sięgam, widzę się godzinami całymi przesiadującą w kościele. Jakże często wymykałam się z domu, by parę godzin spędzić w kościele OO. Dominikanów! Jakże często leżałam krzyżem, całując podłogę i modląc się gorąco do Boga o cud, o pokazanie się anioła, lub jakiegoś świętego. Pewnego poobiedzia, kiedy pograżyłam się w takiej ekstazie, usłyszałam ciche kroki — ktoś szedł ku mnie, ktoś się zbliżał. Cud! — pomyślałam. Moja modlitwa wysłuchana!

W wyobraźni widziałam już anioła lub świętego,

który raptem silnie uchwycił mię za pasek i podniósł z ziemi. Przedemną stała — poczciwa ciotka Teresa, która po godzinnem szukaniu wpadła na moje ślady. W owych czasach nie mogłam się oduczyć dwóch rzeczy: uporu i nieśmiałości. Ach ta wstrętna nieśmiałość tak często stawała mi na drodze! Nawet moja długa karjera sceniczna nie wyleczyła mnie z tej choroby, którą nasz polski poeta Asnyk, stary i pobłażliwy mój przyjaciel, nazywał „kaprysem skromności“.

W r. 1850. w południe w niedzielę Kraków oglądał jeden z najstraszniejszych pożarów. Pożoga trwała dziesięć dni. Piwnice stały się mieszkaniem bezdomnych ludzi. Po długim szukaniu odnalazłyśmy dwa ciasne pokoiki, w których używałam swobody w całej pełni. Schowana wśród koszy i kufrow, rozczytywałam się w żywocie mojej ukochanej św. Genowefy. Chwilami byłam zupełnie pocieszoną po stracie domu; czyż nie mogliśmy bowiem pójść do lasu jak św. Genowefa, żywić się korzonkami i roślinami i oczekiwać przyścia dobrotliwej sarny, która nakarmi nas swym mlekiem? Żyłyśmy we łzach i trosce o jutro. Matka straciła przez pożar wszystko, co posiadała. Widząc łzy matki, stawałam się niezwykle poważną i roztropną. W dwa miesiące po pożarze, oddano mnie i Józję do klasztoru św. Jana. Matka pomimo skromnych warunków nie zaniedbywała naszego wychowania. Brałyśmy w klasztorze dodatkowe lekcje francuskiego, muzyki i tańców. W jesieni r. 1850. brat przedstawił mojej matce p. Gustawa Modrzejewskiego. Ja miałam wtedy 10 lat, on prawie trzydziestki sięgał. Wnet stał się przyjacielem rodziny

i ofiarował się uczyć nas, dzieci, nieznośnego niemieckiego języka, który był obowiązkowym w szkołach. Moja siostra i ja starałyśmy się wymykać z tych lekcji, ostre jednak postępowanie bardzo nam to utrudniało. Sporo czasu upłynęło zanim przyzwyczaiłyśmy się do niego, skończyło się jednak tem, żeśmy go bardzo polubiły.

Gdy w parę lat później moi trzej bracia ruszyli w świat — w domu więc zapanowała wielka cisza i trzeba było coś wymyślić, by ją przerwać. Brat mój rodzony Adolf Opid twierdził, że skoro jesteśmy już dorośli (on miał piętnaście lat, a ja dwanaście) możemy dawać przedstawienia tak jak starsi bracia. — W tym też celu napisaliśmy razem sztukę w jednym akcie. Ja utworzyłam dwie kobiece role on uzupełnił swoimi przemowami. Była to straszliwa tragedia, rozgrywająca się w Grecji. Zazdrosna kochanka oczekiwała swego najmilszego, który miał przyjechać z dalekich stron. Przysiągł powrócić tego właśnie dnia, o tej godzinie. W razie gdyby nie dotrzymał obietnicy narzeczona jego przysięgła zażyć trucizny, którą niewiasty wówczas zwykle nosiły przy sobie w pierścionkach lub medaljonach. — Osoby dramatu były następujące: Sofrona, grecka arystokratka (Helena Opid), Ismena jej towarzyszka (Józefa Opid), Hektor, młody patryjota (Adolf Opid). W pierwszej scenie Sofrona, ubrana w czarną suknię ciotki Teresy, popodpinaną stosownie do mego wzrostu, w czarnej koronkowej chusteczce na głowie spaceruje wszersz i wzdłuż pokoju, zacierając ręce. Nagle przystaje i patrząc na zegar wykrzykuje: „dziesiąta, a jego jeszcze niema“. Potem krótki dialog pomiędzy nią

i okazała ochmistrzynią, której długa suknia ogromnie przeszkadza. „Dwunasta! Boże, teraz jest czas umrzeć!“ Nalewa trucizny do małego kubka. Przykłada go do ust. Gdy raptem, o radości! kroki dają się słyszeć: Tak to on! Sofrona z uśmiechem radości rzuca się na szyję bohatera. Niestety, biedny Hektor po krótkim objaśnieniu upada na ziemię, i umiera z wyczerpania wskutek zaniedbanej rany. Radość bohaterki przemienia się w rozpacz, którą wyraża w konwulsyjnych łkaniach nad zmarłym kochankiem. — Kurtyna.

Kochana ciotka Teresa wyplakała na premierze swoje oczy, biedaczka, ale matka zachmurzyła się i wzięwszy mnie na bok, powiedziała, że zrobiłam marne przedstawienie, grając taką sztukę w tak dziwny sposób, poczem rzekła: „Dosyć teatru!“ Ja przyjąłam ze łzami ten cios, natomiast Józia i Adolf śmieli się. Tyle pracy, myślałam, na nic. Dokładnie bowiem musiałam przestudjować swoją rolę, nietylko dialogi, ale i ruchy, gestykulację całą, pozy, a wszystko bez lustra. Często pytałam się cioci Teresy, dlaczego, kiedy wszystkie dziewczynki, które ja znam, mają lustra, my go nie mamy. Ciocia odpowiadała jednak, że jest niebezpieczną rzeczą patrzeć się do zwierciadła, szczególnie po ciemku, można bowiem wtedy zobaczyć zamiast własnej twarzy straszną trupią głowę z rogami. Tedy zamiast zwierciadła stawiałam lampę na środku pokoju, a potem sama stawałam pomiędzy nią a białą ścianą tak, bym dokładnie mogła widzieć swoją sylwetkę, którą nagięłam do najniemożliwszych póz. Ogromną trudność miałam z rękoma, szczególnie martwiły mię bardzo zbyt

krótkie palce. Doszłam do konkluzji, że najlepiej będzie trzymać wszystkie palce złożone, jak to na archaicznych obrazkach w kościołach widziałam.

Pomimo wszystkich tych starań, pomimo tych wszystkich zabiegów, kiedy znalazłam się przed audytorjum, złożonem z kilkorga dzieci, ich bon, matki naszej i ciotki Teresy, zapomniałam o swoich rękach, o pozie, myślałam tylko o nieszczęściach bohaterki. I właśnie matka była z tego niezadowolona, że ja zajęłam się przedewszystkiem „bohaterką“, a na drugie miejsce usunęłam widzów. Łzy napływały mi do oczu. Chwyciłam rękopis, podałam go na drobne kawałki i wrzuciłam do pieca, a potem uklęknąwszy do pacierza z uczuciem dokonanej ofiary.

* * *

W owych czasach kochankiem moim był — Fryderyk Schiller, którego „Intrygę i miłość“ oglądałam z biciem serca na krakowskiej scenie. Kolejno przeczytałam wszystkie jego sztuki, a im więcej czytałam, tem więcej podziwiałam tego wielkiego poetę. Prostu zakochałam się w nim; kupiłam sobie małą statuetkę, przedstawiającą go we wdzięcznej, spokojnej pozie, ze smutną, piękną głową, lekko pochyloną ku wielkiemu sercu. Tak często spoglądałam na nią, że przyzwyczaiłam się w ten sam sposób trzymać głowę uważnie patrząc w przestrzeń i kiedy wiele lat później spotkałam w Londynie „Estetyków“, kółko artystyczne ludzi, którzy starali wzorować się na obrazach Dantego Rosetti i Burne Jonesa, przypomniali mi się fantastyczne dni mojej młodości. Porównując

Schillera z naszymi poetami, nie uważałam wcale, by ich przewyższał ideą lub uczuciem, zdaje mi się, że to dramatyczna jego strona tak mnie opanowała. Nasi drodzy poeci byli niemal częścią mojej istoty; słyszałam o nich od dzieciństwa, kochałam i czciałam ich, kładąc u ich stóp całą moją duszę i serce.

Pewnego dnia, sądząc, że nikt prócz mojej siostry nie słucha mnie, deklamowałam urywek z „Marji“ Malczewskiego. Kiedy skończyłam, spostrzegłam Felka, stojącego w drzwiach i uśmiechającego się. Jak gdyby złapana na gorącym uczynku, przeraziłam się, on zaś zapytał spokojnie:

— Kto uczył cię deklamować?

— Nikt — szepnęłam.

— Chciałabyś pójść na scenę?

Drwi ze mnie, pomyślałam i nie odezwałam się, ale on ciągnął dalej:

— Ja nie żartuję, jeżeli chcesz zostać aktorką mogę ci dopomóc.

To rzekłszy oddalił się, zostawiając w moich myślach niebywały zamęt. Co on powiedział? Ja aktorką? wykrzyknęłam i spojrzałam na siostrę, która chichotała w kącie: „Jak ty byś zabawnie wyglądała w czarnych aksamitach i gronostajach!“

Jak ja mogę być aktorką? Jak ośmieliłabym się wystąpić przed tłumem, kiedy brak mi odwagi przemówić wobec jednego kogoś obcego? Nie czułam się ani szczęśliwą, ani nieszczęśliwą na myśl o poświęceniu swego życia scenie i dopiero, gdy popatrzyłam się na posążek Schillera wielką radość i nieokreślona nadzieja napełniła mi serce.

A może mogłabym grać w jego sztukach?

Odczytałam ustępy Luizy, bohaterki Schillera w „Intrydze i miłości“ pocałowałam statuetkę i miałam z nią długą rozmowę.

Następnego dnia szłam z Felkiem linją A—B. do p. R. H. Miałam przed nią zadeklamować tak, by mogła orzec, czy mam jakie zdolności sceniczne. Po krótkim spacerze, trzęsąc się ze strachu, stanęłam przed swoją wyrocznią. Drobną, średniego wieku osoba, (ach, taka niepodobna do pięknej bohaterki w gronostajach), siedziała z robotą i nie wstała wcale kiedyśmy weszli, tylko podała swoją rękę o długich palcach bratu, który z uszanowaniem ją ucałował. Uśmiechnęła się do mnie przez cienkie, blade usta i wskazała mi krzesło. Poczem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy, a ja stanęłam w pon-sach pod jej badawczym spojrzeniem. Zła byłam na siebie za te „raki“, musiałam głupio wyglądać, bo spytała brata o mój wiek.

— Szesnaście — ma odpowiedział.

— Już? Nie myślałam. W takim razie trzeba ją przygotować do sceny. Jeżeli... jej matka nic niema przeciwko temu i jeżeli... i tak dalej aż wreszcie kazała mi deklamować. Brat mój pożegnał się, posyłając mi zachęcający uśmiech. Jak ja się ośmieliłam przed takim autorytetem deklamować sama nie wiem; nic nie mówiła, trzymając głowę spuszczoną nad robotą. Dopiero po paru chwilach milczenia, zapytała mnie czy umiem śpiewać. — Nie, nigdy nie brałam lekcji śpiewu — odparłam, lecz ona tak nalegała, że chce się tylko przekonać, czy mam wogóle jaki głos, że wreszcie jej uległam.

Po tej próbie, która, jak sędzę, zrobiła klapę,

pani H. podeszła do pulki z książkami i podając mi jedną rzekła:

— Naucz się roli, zaznaczonej czerwonym ołówkiem i przyjdź pojutrze do mnie, na pierwszą lekcję.

Pożegnałam się. Co za ulga! Dała mi rolę. Widocznie mam zdolności!... Przycisnęłam skarb do serca, i biegłam do domu, aby rozpocząć pracę. Lecz jakże gorzkie czekało mnie rozczarowanie! Tytuł sztuki brzmiał: „Papugi naszej babuni“. Otóż jakaś babka, doznawszy w młodości wiele złego od mężczyzn, chowa swe wnuczki w zupełnej niewiedzy o płci brzydkiej. Panienki, obaczywszy pewnego dnia w ogrodzie dwóch potomków Adama zapytały naiwnie babuni, co to za zwierzęta. Babunia odrzekła: „Papugi“, a rzecz cała skończyła się małżeństwem!... Taką sztukę miałam studjować! O cienie cudownych poetów!... O Mickiewiczu, o mój Schillerze!

Po pierwszej lekcji pani H. osądziła, że nie warto mnie uczyć, bo nie mam ani krzty talentu!

* * *

Wśród różnych papierów znalazłam następujący urywek z pamiętnika, pisanego w mej młodości:

...Dni nie należą do mnie, ale noce są moje. Gdy wszyscy śpią, idę do okna, otwieram je i patrzę na księżyc, na niebo gwiazdziste. Wyciągam ręce i odycham głęboko. Śpiew słowików, zapach akacji, napełnia mnie niewysłowioną rozkoszą i smutkiem. Chciałabym mieć skrzydła, by móc lecieć gdzieś, w nieskończoną dal! Czemu jestem tak wzruszoną? Czy myśl pozostania aktorką napełnia mnie taką

radością? Nie wiem, chociaż czuję się szczęśliwą, jakiś lęk tajemniczy wkrada się do mojej duszy. Nie wiem sama, co mi dolega. Mam opuścić kraj swój, pójść na niemiecką scenę wśród obcych. Skoro tak musi być, pojedę. Czemu nie umiem po angielsku? Grałabym Ofelię, Porcję, Julię...

I z wolna spokój wstępuje we mnie, myślę o rolach, które najwięcej pragnęłabym odtworzyć. Na wpół zamkniętymi oczyma widzę wśród drzew i krzaków Luizę, załamującą ręce i roniącą łzy, Ofelię z bezmyślnym spojrzeniem i błędnym wzrokiem, Małgorzatę w ramionach Fausta, Klarę, zwracającą się z rozpaczą do tłumów, Porcję w adwokackiej todze i słodką Julię w „Panach z Werony“, czytającą listy kochanka. Wszystkie te marylki, chociaż tak do siebie niepodobne tę samą mają twarz, zmieniającą się jedynie przez wyraz, twarz moją! Wysyłam myśli w mglistą przyszłość i widzę siebie na scenie. Słyszę oklaski widzów. Widzę ich łzy i śmiechy. Wiem, że zniewolę ich do tego, by czuli to, co ja czuję. To jest moc! Ach, nie, nie, to wszystko sen, złudzenie. Cóż moje nieszczęśliwe życie przedstawia? Gdzie idę i co się ze mną stanie?...

STYCZNIOWE DZIEWCZĄTKO
(1863)

A teraz niech się czytelnikowi zdaje, że jedno z dzieci w Grottgerowskiej „Wojnie“ zeszło z obrazu i opowiada...

Pani Paulina ze Stamirowskich Konarzewska miała w r. 1863 wiosen dwanaście, patrzyła przez rążonymi oczkami na wszystko, co działo się przed oknami białego dworku jej rodziców, ukradkiem notując w panińskim kajecie. Być może, że w latach późniejszych poprawiła autorka tu i owdzie dziewczęce literki, ale to nie umniejsza wdzięku tego jedyne go w swoim rodzaju dzienniczka, w którym Grottgerowskie sceny opisane są własnymi słowy przeżywającego je podlotka!

20. stycznia 1863 r.

Nie śmiem dziś spojrzeć na tatusia, bo się czegoś boję, zdaje mi się, że się gniewa. I taki smutny. Ja okropnie ojczenia kocham, ale nigdy nie pieszczę się z nim, ojczuś tylko rękę daje do pocałowania, ale wiem, że dziś to się zgnywał i zmartwił bardzo. Przyjechali młodzi S. z sąsiedztwa, Kazio i Władzio. Ojczuś bardzo się przyjaźni z ich ojcem, a Kazia ogromnie lubi. Wysoki bardzo i dosyć tęgi, blondyn, Władzio szczuplejszy i podobno gorzej się uczy.

Przyjechali dziś i tylko z ojczusiem przy zamkniętych drzwiach rozmawiali. Przyłożyłam ucho do klamki i słyszałam jak ojczuś wołał, ale takim głosem, jakby naprawdę płakał: „Dzieci, na miłość Boską, co wy robicie, porywacie się z motyką na słońce”, a Kazio Strasz. mówił też jakimś dziwnym głosem. „Panie kochany, my zwyciężymy — pójdziemy wszyscy, Polska, Litwa, Ruś, a Francja i Anglia nam pomogą”.

Uciekłam, bo się bałam że mnie spostrzegą i pobiegłam do naszego pokoju. Moja siostra Stefcia — o! ona jest już dorosła ma 17 lat — i nasza nauczycielka panna Emilia, niby Francuska — ale ze Szwajcarji, umie tylko po francusku mówić — siedziały przy sobie takie jakieś zmieszane, a ja się pytałam co to jest.

P. Emilia mi mówi: „*Ecoute Paulina*“ — ale nie będę pisała po francusku — bo choć ją bardzo lubię i francuski język także, to przecie czasem się boję, żeby po polsku nie zapomnieć i aż mi się płakać chce, bo doprawdy już w nocy nigdy mi się nie śni po polsku, tylko po francusku i pytałam się mateczki, czy mnie się nigdy już nie będzie śniło po polsku?

Mateczka się śmiała, co mię uspokoiło i nie boję się już mówić po francusku, bo przecież obce języki są potrzebne — ale dzienniczek mój pisać będę tylko po polsku, bo nie lubię tej mieszaniny, makaronizmu. Doskonale pamiętam ten wyraz, bo do makaronu podobny.

Otóż na moje natarczywe pytania i p. Emilia i Stefcia powiedziały mi, że będzie powstanie i że

już może jest, bo już wszystka młodzież z Warszawy uciekła do Kampinowskich lasów i właśnie Kazio i Władzio Str. tam w te lasy jadą.

Zrobił się jakiś ruch w przedpokoju, podbiegłyśmy i przez troszkę uchylone drzwi, widziałyśmy, jak mama błogosławiła Kazia i Władzia Str. i ojcuś ich ścisnął i wszyscy zdaje mi się płakali, choć później obydwaj i Kazio i Władzio Str. wesoło wykrzyknęli: „niech żyje Polska!“ Ale ojcuś powiedział, „cicho, cicho“ żeby służba nie słyszała, bo przecież wszędzie pełno Moskali i mogliby tych powstańców złapać.

Jakie to śliczne słowo „powstanie“, — iść w lasy i bić się za Ojczyznę! Stefcia zaczęła klaskać w dłonie, skakać, cieszyć się, ale p. Emilia powiedziała, że to jest sprawa bardzo poważna i zdaje mi się, że ta kochana, moja Emilia miała łzy w oczach. Bo ona okropnie kocha swoją Helwecję, jak ją nazywa i taka dumna z tego, że jest Szwajcarką. Ja znów, nie chciałabym za nic, być czem innym jak Polką, za nic w świecie! — Ale ona naprawdę kocha teraz naszą Polskę, *cette pauvre Pologne*, jak mówi. Ubiera się zawsze czarno tak, jak Stefcia i Mateczka, tylko ja nie mam jeszcze czarnej sukni.

Mateczka już obiecała kupić mi czarną sukienkę, ale pewnie tylko na święto, bo ja okropnie plamię. Stefcia sobie obciąła włosy, a że jest z niej trzpiot straszny, więc namówiła p. Emilię, żeby sobie dała obciąć włosy. Tamta poczciwa tak kocha Polskę, że sobie pozwoliła obciąć, a Stefcia tak jej chlasnęła, że teraz wygląda, jak chłopak. Mnie i włosów nie pozwolili obciąć, mam duże jasne włosy, z których

robię na przodzie kółeczka, mam duże, ciemnozielone oczy i jestem dosyć duża. Zdaje mi się także, że jestem ładna, ale to głupstwo — czyż się godzi myśleć o tem teraz, kiedy powstańcy idą do lasów i tam będą marznąć i głodem się morzyć, a Moskale będą ich gonić i strzelać do nich!

Boże! żeby tylko Francuzi i Anglicy przyszli z pomocą. Stefcia mówi, że napewne przyjdą. P. Emilię pytałam czy przyjdą i Szwajcarzy, ale ona mówi, że oni są biedni i tylko się biją za pieniądze.

— Fe! to nieładnie! No, ale jeżeli są biedni, to trudno! P. Emilia też musi być biedna, skoro opuściła dom, rodzinę i przyjechała do nas, całkiem obcych ludzi, nie umiejąc ani słowa po polsku, ani nawet po niemiecku.

2. lutego.

O niczem nie mówimy, tylko o powstańcach, — doprawdy ani się uczyć nie chce człowiekowi. Wczoraj było znowu coś nowego! Przyjechał Scis S., kolega naszego Kazia z Warszawy. Zamknęli się z matczką w pokoiku i coś długo rozmawiali, a potem jak wyszli, to mama tak dziwnie jakoś na mnie patrzała. Aż mi się gorąco robiło. Scis siadł do fortepianu i niby coś grał, ale wciąż na mnie patrzył — ja to czułam i nie byłabym za nic w świecie na niego spojrzęła, za nic, wolałabym uciec z pokoju. Jak byłam mała, to mnie nazywał swoją i całował mię na przywitanie i na pożegnanie, ale teraz już ze dwa lata nie dam się pocałować.

Dawniej też chowałam dla niego i dla Kazia naszego wszystkie cukierki jakie dostawałam, ale

teraz już nie — zawsze chowam cukierki dla jednej chorej staruszki, co bardzo kaszle.

Sciś wczoraj odjechał, pewnie do powstania, ale się nie śmiała nikogo spytać. Przy pożegnaniu spostrzegłam, że ma na małym palcu pierścionek, który w czasie wakacji dałam memu bratu Kaziowi.

5. lutego.

Co za okropny popłoch między Moskałami! Codzień objeszczyki uciekają całymi gromadami, konno, piechotą, na wozach, a wszyscy tacy zestrachani, tacy przerażeni! Boże! Boże! żeby to już powstańcy przyszli, ale lepiej że Moskałe uciekną, bo by mogła być bitwa, a to by było okropne.

Wszyscy uciekają do Miechowa, tam podobno pełno wojska moskiewskiego.

Ach! co za okropną miałam wczoraj przygodę; doprawdy, aż mi wstyd pisać! Jakiś oficer moskiewski, znajomy ojczusia przyjechał się pożegnać — byliśmy w saloniku, gdy wszedł i po chwili zaczął się żegnać i prosił siebie wyobrazić, że naprzód mamę, potem p. Emilię, a potem mnie w rękę pocałował.

Stefcia uciekła i ja byłabym uciekła, ale to przecież niegrzecznie, zresztą czy ja mogłam przypuścić, że on mnie w rękę pocałuje! Wybiegłam z pokoju i zaczęłam płakać i rękę wycierać. Mateczka perswadowała, że on pewnie ma daleko rodzinę i myśli że go Polaki zabiją, więc się żegnał z nami, myśląc o swojej rodzinie.

6. lutego.

Ciągle uciekają Moskale — ojczuś mówi, że mama musi z nami wyjechać do Galicji, bo tu niebezpiecznie, ale ja bym wolała zostać i widzieć powstańców. Boże! widzieć na koniach z lancami, chorągiewkami, jak gonią Moskali!

Dziś było słycać jakieś strzelanie — staliśmy wszyscy przed domem, bez tchu w piersiach — przykładaliśmy ucho do ziemi — słycać tak jakby armaty — gdzieś niedaleko nasi się biją. Przeleciał jeden i drugi Moskal na koniu — jak szalony, pewnie ich nasi pobili, może tu przyjdą! Całą noc nikt u nas nie zmrużył oka, rano ojczulek się dowiedział, że była jakaś utarczka za Proszowicami, ale że główne wojsko polskie idzie na Miechów pod dowództwem Kurowskiego. Moskali bardzo dużo w Miechowie, tam ściągnęli z całej okolicy. Czekamy na naszego Kazia. Mateczka mówi, że on już może w obozie u Kurowskiego, ale przecież powinien się z nami pożegnać.

10. lutego.

Nic nie mogę napisać, bo się cała trzęsę, my ani śpimy, ani jemy — w ciągłej trwodze — boimy się Moskali i służby, a najwięcej boimy się złych wieści o naszych powstańcach. Ale są i chwile wielkiej radości — słycać, że niedaleko nas zbiera się wielki obóz, że ten Kurowski to wódz znakomity, że wszystkich stron przybywają ochotnicy, nawet z Francji i Włoch i z Turcji.

Tam ma być tysiące powstańców i jeść mają dosyć, broni podobno im ciągle przywożą.

Moskale w okropnym strachu puciekali, skąd tylko mogli i zamknęli się w Miechowie. Nasi górą — mój Boże, co za radość, będzie Polska i wojsko polskie i król polski — czasem myślę, że oszaleję z radości! A tak bym chciała zobaczyć tych powstańców, jak oni wyglądają! — Ale o Stasiu naszym nic nie słyhać!

18. lutego.

Boże! co za radość! Co za nowina! Kazio przyjechał. Ale jaki Kazio! Jakò powstaniec! Był już w obczuie i dostał urlop tylko na 12 godzin, żeby się z rodzicami pożegnał. Ma być w strzelcach, ale jeszcze nie ma karabinu, ojczuś mu kupi, albo swoją fuzję mu da i rewolwer, i będzie powstaniec. Kazik powstaniec! Ja nie śmiałam się zbliżyć do niego, tylko ciągle chodziłam za nim i przyglądałam mu się.

Miał śliczną czerwoną koszulę, buty palone, a na głowie czapeczkę niebieską z białym barankiem. Taki był śliczny i taki dumny, jak chodził po podwórzu i nic się nie bał, bo przecież Moskali już niema.

Kraków, 20. lutego.

Boże! co się stało! Tyle nieszczęścia, tyle krwi i tyle łez! Niewiem, jak ja to potrafię, ale choć w króciutkich słowach napiszę.

Gdy onegdaj zasnęłam, nagle zbudził mnie krzyk p. Emilii: „Pauline, Pauline, wstawaj — uciekamy — Moskale, nieszczęśliwa bitwa — Miechów się pali!“

Ojciec chwyta nas na rękę — mnie i małego bratczka Tadzia i rzuca na wóz, gdzie już mama, Stefcia i p. Emilia siedziały.

Ciemno już — wyjeżdżamy za roгатkę austr. i tam z szosy, widzimy wielką łunę. To Miechów się pali! Jezus Marya, co się stało — gdzie nasi — czemu uciekamy? Rozlega się płacz na naszym wozie — wszyscy mi opowiadają, jak z krzykiem tryumfu nadleciał oddział moskiewskich objeszczyków — krzyknęli hurra, strzelali, i o mało ojczusia nie zabili, który wybiegł, myśląc że to nasi.

Przybiegli chłopci z wiadomościami, że Polaki pobite, że Miechów się pali, że Moskale ścigają powstańców, — ojciec kazał zaprządzić i wyprawił nas do Krakowa, sam został.

Daleko od miasta tłumy ludzi — otaczają nasz wóz — krzyczą, płaczą, a wszyscy pytają czy z Miechowa jedziemy. Kobiety łamią ręce, lamentują — Boże, Miechów się pali — gdzie nasze dzieci?

Mama mówi, że najwięcej tam było z Krakowa i z okolicy — co się z nimi stało! W mieście pełno ludzi na ulicach — wszyscy biegają, jakby co szukali — ledwieśmy się przedostali na Piasek i tam przyjęli nas państwo Fibichowie, dawni nasi sąsiedzi ze wsi.

A teraz siedzę sama — wszyscy poszli dowiedzieć się co słyhać.

Tego samego dnia w nocy.

Wróciła Mama z miasta — mówiła, że ojciec z naszym bratem Kaziem całą noc przeprowadzali powstańców przez granicę. A co za straszne no-

winy! Cały obóz Kurowskiego rozbity, ten największy wódz zgubił podobno całe wojsko, tak wszyscy mówią. — Boże! czy już Polska zginie?

Przyszedł do mamy telegram z Warszawy od jej siostry ciotecznej, od ciotki Pint., aby szukać jej syna ukochanego — był w Heidelbergu i miał wprost do obozu Kurowskiego wyjechać.

Idziemy na ulicę. Czy to Kraków naprawdę? Nie — to chyba jakiś obóz — na ulicach pełno ludzi, w Rynku nie można się przepchać, a co trochę to powstaniec, albo dwóch albo dziesięciu. Gdzie większa grupa, tam biegniemy, mama pyta ich o Witolda, syna ciotki, jedni go widzieli w obozie, drudzy już w bitwie, inni wcale go nie znali. Wreszcie jeden wysoki blondyn w siwej barankowej czapce i kożuszku grzecznie się mamie kłania i pyta: czy pani matka? — Nie, ciotka. „To pani powiem, że Witold P. zginął na rynku w Miechowie obok mnie. Wpadliśmy pierwsi na czele jazdy, ja jechałem po jednej stronie, Nencki po drugiej, a Witold w środku. On padł od kuli moskiewskiej, bo cała rota piechoty przywitała nas ogniem — co się stało z drugim w naszej trójce nie wiem, ja wpadłem w jakąś uliczkę, tam koń mój potknął się i padł.“

Mama poprosiła tego pana, by szedł z nami, nazywał się Władysław Rudzki, oprócz niego zabraliśmy jeszcze dwóch, jeden był ranny, a drugi kolega Witolda z Heidelberga, chciał opowiedzieć matce o nim.

Pełno było rannych na ulicach, formalnie dobijali się o nich — każdy chciał mieć rannego powstańca. Byliśmy przedtem w kilku domach, szu-

kając Witolda między rannymi — gdy on już tam leży w Miechowie, na kupie trupów, bo mówią wszyscy, że prawie cała ta kawalerja co wpadła na rynek, wyginęła!

Wróciliśmy nad wieczorem do domu i zastaliśmy już tam ciotkę P. Na pierwszy telegram, wiadomość jaka doszła do Warszawy o bitwie, siadła do pierwszego pociągu i przyjechała do Krakowa.

Dziwna a niezwykła kobieta! Bardzo serdecznie przywitała tych panów, jak gdyby to byli jej synowie i zaczęły się pytania. Oni nie chcieli jej prawdy powiedzieć, mówili, że może ranny, że się jeszcze w Krakowie znajdzie, brat przyprowadził jeszcze kilku powstańców i jeden napewno twierdził, że Witolda widział już po bitwie i że był zdrów. P. Władysław R. słuchał, ale był tak okropnie smutny, że ja sobie zaraz pomyślałam: „No, ten pewnie wie, że Witold zginął“. A ciotka była spokojna, ani jednej łzy nie uroniła — rzekła tylko „gdybym go choć nieżywego dostać mogła“.

Jeden z tych panów był z oddziału Rochebruna, to dzielny Francuz — dowodził żuawami i okropnie się bili ci żuawi, na cmentarzu w Miechowie. Podobno tam była prawdziwa bitwa i tam nasi zwyciężali, ale okropnie się wszyscy gniewają na Kurowskiego, że całą kawalerję dał na rzeź, jak mówili, bo im kazał zdobywać miasto tylko szablami, a tam było pełno piechoty — przywitali ich okropnym ogniem, a potem kozaki i objeszczyki na koniach gonili i dobijali naszych rannych bohaterów. Nawet niektórzy mówili, że Kurowski zdrajca, że

naumyślnie ich tak poprowadził, ale to chyba nie może być — to chyba byłby szatan nie człowiek!

Ciotka widać nie straciła nadziei, bo chce iść jutro szukać jeszcze Witolda między rannymi.

24. lutego w nocy.

Mogę pisać tylko w nocy, bo w dzień takie zamieszanie, bieganina, to jęki, to płacz, że czasem mi się zdaje, że to jakiś okropny sen.

Co tam robi mój biedny, ukochany ojciec, sam jeden z tą boleścią w duszy. On przecież mówił „że porywacie się z motyką na słońce“, bo przecież Moskali tak dużo, a naszych garstka! Ale wszyscy mówią, że to dopiero początek, że będzie powstańców tysiące, i że mocarstwa zagraniczne nam pomogą.

Chodzimy z ciotką po domach, gdzie są ranni, ale Witolda niema! Mnie nie wszędzie biorą — bo mama mówi, że ja się ogromnie przejmuję widokiem rannych i że zmizerniałam, ale ja tak proszę i całuję mateczkę, że mię czasem wezmą. A Kraków ciągle taki smutny — taki płacz słyhać ogólny, że chyba nigdy już nikt nie będzie się śmiał w Krakowie — sprzedają ich fotografie, a ja dostałam jednego, Emanuela Moszyńskiego.

26. lutego.

Podobno już jest duży oddział powstańców, niedaleko komory Szyce. Z Krakowa już tam idą powstańcy. Mateczka kupiła burkę Kaziowi, taką brązową, powstańczą, karabin i pałasz i pistolet —

wszystko, co potrzeba do powstania i ma go sama odwieźć do obozu. Ja dostałam już czarną sukienkę.

Ciotka już pojechała do Warszawy — nie znalazła ani śladu Witolda — nie płakała nic, wyjeżdżając mówiła, że spieszy wyprawić drugiego młodszego syna Władzia do powstania. „Spełniam obowiązek matki-Polki“ — powiedziała i uśmiechała się przytem, choć serce musiało jej pękać z bólu, za Witoldem. Nasza mateczka też spełni obowiązek matki Polki i sama odwiezie Kazia.

28. lutego.

Był ojczuś kochany i mówił, że Anglja i Francja z pewnością nam pomogą. Podobno Kazio Str. zginął — co za szkoda, taki dobry i mądry chłopiec.

Ojciec wczoraj odjechał z powrotem, a mama jutro rano odwozi Kazia — mnie pewnie nie wezmą!

2. marca.

Naturalnie, że mię nie wzięli, pojechała tylko Mama ze Stefcją. Kareta była duża, konie dobre, choć fiakiarskie, a w karecie pełno broni i jedzenia, coś ze trzy koszyki. Wyjechali już nad wieczór i była całkiem noc, jak przejechali granicę w Szycach.

Wjechali w jakiś las i tam zaraz pikietą nasza ich zatrzymała „Kto jedzie“?! — pytał powstaniec. A Mama odpowiedziała: „Matka odwozi syna do obozu“. „Bodaj się takie matki na kamieniu rodziły“ — odrzekł chłopczyzna, a potem zaraz otoczyli powóz i pytali o broń. Ale broni mieli tylko tyle, co dla dwóch, bo poszedł także do szeregów ten p. Włady-

sław R. u którego boku zginął Witold w Miechowie. „Broni, broni nam trzeba — mówili nasi — jedzenia mamy dosyć“.

Nad ranem wróciła mama ze Stefcją, zostawivszy Kazia w lasach — odprowadzili go zaraz do dowódcy oddziału, który mu powie, czem ma być — pewnie go zrobią oficerem — ale niema konia — to bieda!

Ja płakałam, jak mateczka odjechała, więc pani Emilia wzięła mię na miasto i tam widziałyśmy cały oddział powstańców na koniach, wyjeżdżający z miasta do powstania. Ślicznie wyglądali, a było ich może ze 60. — Austriacy udawali, że ich nie widzą, a oni jechali dziarsko i śpiewali pieśń powstańczą.

3. marca.

Ciotka P. znów przyjechała, była w Miechowie, przekupywała żołnierzy moskiewskich, aby się czegoś dowiedzieć o Witoldzie, wszędzie, wszędzie chodziła, nawet do generałów, żeby dali pozwolenie szukać między rannymi, a nawet między zabitymi, bo jeszcze nie wszystkich pochowali — nigdzie śladu!

Ktoś powiedział ciotce, że jakiś żołnierz w Miechowie, chciał sprzedać pierścionek, ale z palcem, co go odciął powstańcowi, razem z pierścionkiem. Ciotka koniecznie chciała widzieć ten palec i ten pierścionek, ale się dopytać już nie mogła.

Boże! co to za kobieta, ta ciotka! Ona nic nie płacze, uśmiecha się do nas i taka pogodna, taka śliczna, tylko zdaje mi się, że włosy miała ciemniejsze, jak przyjechała — mateczka mówi, że posiwiiała.

Fan F. gdzie mieszkamy, już staruszek, powiedział raz, że ciotka P. jest warjatka! „Jednego syna straciła, drugiego już wyprawiła, ciekawy jestem czy i trzeciego pošle“. Ale Feluś jest dopiero w 5 klasie i to jej ostatni syn! Ale gdzie można ją za to nazywać warjatką! Przecież każda matka powinna to samo zrobić — przecież to byłby wstyd dla młodego chłopca siedzieć w domu, kiedy wszyscy idą do powstania. Wszyscy muszą iść, i idą nawet starsi panowie. Widziałam na ulicy już takich starych powstańców z brodami, nawet siwych.

Boże! — jak sobie wspomnę tego Kurowskiego, to sen ucieka mi z powiek! Już mię oczy bołą od płaczu, gdy o tem myślę, a cóż dopiero byłoby, gdyby Kazio nie był dostał urlopu, byłby tam już leżał między trupami, pokrwawiony, obdarty! Brrr! Jak ta ciotka może sobie wyobrazić swojego syna w tym dole i nie płakać!

10. marca.

Już jesteśmy znowu na wsi! Mamy tylko jeden pokój, ale taki wielki, że można czwórką nawrócić, i kuchnię. Do granicy może ćwierć mili, ojczulek będzie mógł przychodzić piechotą.

Wczoraj z sąsiedniej wsi, przyszedł posłaniec z listem do mamy, aby nam pozwoliła przyjechać i rozmówić się z jakimś powstańcem, bo mówi tylko po francusku, a nikt u nich nie mówi. Mateczka pozwoliła i pobiegłyśmy piechotą, bo tylko przez łąkę. Okropnie nami się ucieszyły te panie, choć nie znałyśmy ich dotąd i pan domu i żona jego i córka, tęga pannica, ale najwięcej ucieszył się ten powstaniec.

Przyjechał z Francji i poszedł prosto do oddziału Langiewicza.

Była okropna bitwa pod Pieskową skałą, nasi zbili Moskali na kwaśne jabłko, a potem dał mu Langiewicz jakieś papiery i kazał jechać do Krakowa z drugim oficerem Polakiem. Nad samą granicą natrafili na kozaków i ci ich gonili, strzelając za nimi. Tamten miał widać lepszego konia i znikł Francuzowi z oczu, pewnie się znajdują w Krakowie, bo oba mieli ważne papiery do Rządu narodowego.

Okropnie chwalił Langiewicza, że to wielki wódz i wojsko ma doskonale wyćwiczone. Powiada, że jutro rano wraca do obozu i okropnie się spieszył. Strasznie zapalony rewolucjonista, a przytem ładny chłopak, nigdyśmy go już nie widziały!

12. marca.

Langiewicz ma teraz ogromne wojsko, ale takie, że na tysiące liczą. Ojczuś powiada, że to będzie główna armia polska, a on będzie dyktatorem. Jest tam i piechota i kawalerja podobno i armaty mają i wszyscy okropnie się cieszą, że już tyle powstańców mamy. Ten straszny Czengieri podobno zbiera ogromne wojsko na Langiewicza, ale przecież taki dyktator musi być bardzo mądry i nie da się tak ze wszystkich stron otoczyć. Ciągłe przychodzą nowe partje powstańców do obozu Langiewicza. Wszędzie po całym kraju słyhać o bitwach, i na Litwie będzie powstanie — ale oczy wszystkich obrócone są teraz na obóz Langiewicza pod Goszczą.

Jakie to zabawne, że taki wielki wódz, generał i dyktator ma za adjutanta pannę i to Rosjankę.

p. Pustowojtów. Podobno taka odważna, że pierwsza idzie w ogień — młoda jest, ale nie bardzo ładna, czarna i gruba, w żółtych butach, ale jej ślicznie w tym ubraniu — mamy jej fotografię.

14. marca.

Coś opowiadał ojciec mamie w tajemnicy, a mama z p. Emilią potem długo rozmawiała, Stefcia podsłuchiwała i przyszła mi powiedzieć, że podobno Scis S. zginął w jakiejś bitwie. Ktoś dał znać jego ojcu. Dziwnie mi się jakoś smutno zrobiło i nie mogłam na drugi dzień nic do ust wziąć. Usiadłam w kącie na moim czarnym wążutkim kuferku i tak długie godziny siedziałam. Nikt mię nie wołał, ani do mnie nikt nic nie mówił. Żal mi okropnie Scisia — myślałam, że on nie może nigdy zginąć w bitwie, i że ten pierścionek coś pomoże — ale to przecież niemożliwe — pierścionek na palcu, a kula pewnie przeszła mu przez pierś. Siedziałam tak do wieczora, ale nic nie płakałam.

21. marca.

Nie wiem, czy ja potrafię co napisać, bo cała się trzęsę, jeszcze dziś nie mogę się uspokoić, a wczoraj to był sądny dzień! Boże — Boże! Co się stało! — Langiewiczza już niema i obozu już niema i wojska naszego niema, wszystko rozbite, — wszystko w ucieczce!

Zaraz po obiedzie siedziałyśmy koło łóżka mamy, gdy wbiega Marysia i woła: panienki, panienki! Stefcia wybiega, ja za nią, a tu już krzyczą w sieni, że pełno po polach ludzi pieszych i konnych.

Wpadamy z tą wieścią do pokoju, porywamy coś na siebie i biegniemy.

Na dworze nie było zimno — czarna ziemia przeglądała ze śniegu, ale było dość sucho. Wybiegłyśmy za wieś, patrzymy — po polach pełno ludzi. Na przełaj, przez jakieś ścierniska biegniemy ku grupie ludzi.

— Kto panowie jesteście? — pytamy, wołamy, krzyczymy.

— Powstańcy z obozu Langiewicza — Co? Jak? Przystaje kilku z nich i opowiada nam przerażonym, że wczoraj była bitwa pod Grochowiskami, że polskie wojsko rozbite, że Langiewicz ze sztabem przeszedł granicę, że część tylko wojska uszła w lasy, ale że Czengieri ich goni i wszystkich wybije.

Biegniemy dalej i znów to samo nam opowiadają. Jeden taki jakiś oberwaniec z jasnym zarostem, w nędznym odzieniu, zaczął nam opowiadać, że on usługiwał Langiewiczowi, że właśnie jak nastawiał onegdaj wieczór samowar, to Langiewicz miał ze swoim sztabem naradę, że wnet pikiety dały znać, że Moskale otaczają obóz i bitwa się zaczęła — straszna, krwawa!

Wtem nadchodzi patrol austriacki i zaczyna się arestowanie — odbierają tym biedakom broń i pędzą gdzieś! Nadchodzi drugi patrol — patrzymy, wszędzie patrole, po kilku uzbrojonych żołnierzy — może im gdzie dadzą przytułek, może ich nakarmią biedaków.

Och! jakże mi coś jęczy w sercu. Nadjeżdża jakiś na koniu. Dwóch siedzi na jednym koniu, na przodzie jakiś młody człowiek, blady, noga owinięta

szmatą, z pod której sączy się krew — za nim siedzi mały chłopczyna, może 12-letni, także blady i zmęczony, ale widać, że silniejszy od rannego, bo go podtrzymuje wpół całą siłą. Zbliżamy się prędko do nich, aby się dowiedzieć jakichś szczegółów o bitwie gdyż w tej chwili nadchodzi patrol austriacki, żołnierz czy podoficer chwyta za uzdę konia i każe rannemu schodzić. Ten zaczyna jęczeć i błagać, aby go nie ściągał z konia, ale żołnierz go szarpie i powtarza rozkaz. P. Emilia i Stefcia zaczynają krzyczeć i gniewać się na żołnierza. Ja nie wiedziałam już co robić, jak pomódz temu biedakowi, — strasznie mi było. Zbliżyłam się do żołnierza i pocałowałam go w rękę — mówiąc po cichu — „puść go pan“. Żołnierz tymczasem jakby się zawstydził — cofnął rękę, spojrział na mnie i spieszenie się oddalił z całym patrolem.

P. Emilia i Stefcia gniewały się na mnie, że tego żołnierza pocałowałam w rękę.

Wszędzie, wszędzie koło nas, pełno było powstańców — ja chciałam już rannego do domu odprowadzić i pomogłyśmy małemu chłopcu wsiąść znów na konia. On mówił, że był też w obozie i bił się z Moskalami — taka mała bieda! W tej chwili zbliżyło się do nas kilku bardzo eleganckich powstańców.

Ci panowie dziwili się bardzo, że Langiewicz przeszedł granicę, że oni zaraz pójdą napowrót do Królestwa, i że bardzo dużo naszych zdołało się przedrzeć i formują się z powrotem w silne oddziały.

Podobno oddział Chmielińskiego najlepszy, wyćwiczony i uzbrojony i Chmieliński bardzo dzielny i surowy dowódzca. Mówili, że Chmieliński nie byłby przeszedł granicy, gdyby był dyktatorem, jak Langie-

wicz. Jeden z tych panów przedstawił nam się jako Jasiński i prosił i zaklinał, aby gdzie ukryć jego broń, której chciał jeszcze użyć w walce z Moskwą. Nieznacznie pokazał na mostek na łączce, że tam broń ukrył. Obiecałyśmy mu, że we dworze schowamy i pobiegłyśmy do mostku, gdzie rzeczywiście ukryta była broń. Śliczny, nowiutki sztucer, karabiny, rewolwery i szable — pozabierałyśmy cośmy mogły i przez te mokre pola szłyśmy do domu w okropnym strachu, żeby nas patrol austriacki nie spotkał.

W podwórzu pełno było już powstańców — siedzieli, leżeli i widać było rannych między nimi.

Wbiegłam do sieni, a raczej wlokłam się, bo miałam pod peleryną rewolwery i szable, chcąc to jaknajprędzej zrzucić, otwieram drzwi do naszego pokoju i słyszę tam wielki krzyk mamy.

Na środku kilku powstańców, a jeden z nich blisko łóżka mamy klęczy i coś błagalnym głosem mówi. A mama krzyczy: „Zdraycy, uciekinierzy, — precz stąd — wyście Ojczyznę zdradzili, wyście z pola walki uciekli — precz, precz!“

Boże! co to jest, nigdy jeszcze mateczki nie słyszałam tak strasznie krzyczącej, nigdy nie widziałam tak okropnie rozgniewanej.

Przypadłam do jej łóżka, za mną kilku powstańców, zaczęli mamę całować po rękach i zaklinać się, że oni nie zdraycy, że oni nie uciekli — że po krwawej bitwie zmuszeni byli przejść granicę, razem ze sztabem — z Langiewiczem.

Co się działo, co się działo! Oni poklękali przy łóżku mamy, i prawie ze łzami do niej przemawiali, a ona po chwili upadła na poduszki i szlochać za-

częła! Nadeszła p. Emilia ze Stefcia — poskładałyśmy tą broń na łózkach naszych pod kapami.

W kilka godzin później już nie wielu było widać powstańców, a jak ojczuś przyszedł, to nas zaraz uspokoił, że to nie była żadna klęska, tylko zwycięstwo pod Grochowiskami! Jedno jest wielkie nieszczęście, a to, że istotnie Langiewicz ze swoim sztabem przeszedł granicę.

Ale czemu ten Langiewicz opuścił wojsko! Nad wieczorem przyszedł jakiś starszy oficer od powstańców, zdaje mi się, że pułkownik — powiedział, że się nazywa Smiechowski i opowiadał dużo o tej bitwie pod Grochowiskami. I on mówił, że nasi zwyciężyli, i że wojsko nasze wcale nie rozbite, tylko właśnie jego oddział był zmuszony przejść granicę.

Mówił, że Polacy powinni byli wykorzystać to zwycięstwo i ścigać Moskali. Zachodził w głowę, dlaczego główny wódz i dyktator opuścił wojsko i przeszedł granicę. W tem musi być jakaś wyższa kombinacja, mówił ojczulek — ale ja tego nie pojmuję i nie mogę darować Langiewiczowi, że zamiast ścigać Moskali, wsławić się okropnie, on pozwala Austryjkom się aresztować. Ale ja przecież tego wszystkiego zrozumieć nie mogę, nawet nie mogłam ciągle słuchać co opowiadał pułkownik Smiechowski, bo p. Emilia i Stefcia zawołały mię, aby im pomódz schować te karabiny, szable i rewolwery pod sienniki, dopieroż będzie miękko spać — ale za to panowie Austrijacy nie znajdują!

Potem usiadłam sobie z daleka i patrzyłam na tego naszego gościa. Włosy miał już siwiejące, twarz nadzwyczaj miłą i uśmiech łagodny. Przed dwoma

dniami był w bitwie krwawej — a teraz siedzi, taki cichy.

Stefcia pytała go o Pustowójtównę, mówił, że biła się dzielnie, że pierwsza szła w ogień, że razem z Langiewiczem została aresztowana.

Mama pytała go o Kazia, a gdy usłyszał nazwisko, przypomniał go sobie, jako porucznika kosynierów i zaręczał mamie, że go widział żywego, już z tej strony granicy. Podobno jechał na koniu i zdawało mu się, że był ranny.

Mama płakała z radości i chciała całować po rękach tego pułkownika. Potem rządca dał mu konia, bo prosił o to i pojechał do Krakowa.

23. marca.

Dziś po południu, drzwi się nagle otwierają — w nich pan Władysław Rudzki, prowadzi naszego Kazia pod rękę! Naprawdę Kazio! Ale jakież odmienny! Ten śliczny, wystrojony Kazio, wyglądał jak dziad jaki. W tej samej burce, ale brudnej, zgniecionej, twarz chuda, czarna, zarośnięta! Przytem taki słaby, ledwie się na nogach trzymał!

Zaczął opowiadać o bitwie, ale język mu się plątał — p. Władysław mu pomagał — ale ojciec kazał im dać jeść i położyć spać.

Pani Józ. żona rządcy — umieściła p. Władysława, a myśmy przyniosły balję, naniósły wody i nasz Kazik się wykąpał, a potem dostał świeżą bieliznę i ubranie. W końcu naszego pokoju ustawiliśmy łóżko, zasłonięte parawanem i tam nasz biedny powstaniec zasnął snem twardym.

Mama się trochę uspokoiła, ojczuś przytulił się na kanapie, a my cichutko wsunęłyśmy się do łóżek — lecz zaledwie światła pogasły — słyszymy dobijanie się okropne do głównych drzwi wchodowych, a po chwili i do naszych drzwi. Słyszymy szcęk oręża, drzwi się z trzaskiem otwierają i stoją w nich żołnierze austriacy. Ten, co szedł naprzód, niósł latarkę i cały patrol wszedł z groźnymi minami do naszego pokoju. Ojciec wyszedł naprzeciw nich i pyta, czego chcą? A oni powiedzieli, że powstańców i broni.

Ja zaczęłam się trząść cała, bo przecie nasze łóżka były pełne broni, a oni się zbliżyli i ten co trzymał latarkę przyświecił nam nią w oczy.

Na samym brzegu leżała p. Emilia, a że miała twarz dużą o męzkich rysach i krótko obcięte ciemne włosy — ten kapral wziął ją za powstańca i zawołał. — Ot jest powstaniec — proszę wstawać! Stefcia zaczęła się ogromnie śmiać, a ja byłam tak wystraszona, że cała się pod kołdrę schowałam. Z trudem wytłumaczyła mateczka tym żołnierzyskom, że to są panienki, ale poczciwi byli jacyś ci żołnierze, bo zaglądnąjąc do Kazia przewrócili na niego parawan, a jeden się odezwał: „ot biedaczysko, pod Grochowskimi go nie zabili, a tu go chciał parawan zabić.“ Mimo tego hałasu Kazio się wcale nie obudził i spał tak coś ze trzy dni.

2. kwietnia.

Takie przecież ciepło na dworze jak w lecie — dziś graliśmy w „cerceau“ na wielkim gazonie przed dworem. Ostatnie to już są chwile wesela, bo pan Władysław czeka tylko na Kazia, aby z nim razem

iść znów do powstania. Wczoraj przywiózł nam jeden z sąsiedztwa małego Francuzika, nazywa się Chabreuil i jest ogromnie wesoły i zabawny. Czekają na jakieś rozkazy, do którego ma iść oddziału, a że jest francuskim oficerem i odbył już kampanię w Algierze, więc podobno mają mu dać jakieś dowództwo.

Wszyscy powstańcy już poszli i mój ranny też i zabrali sobie broń. Kazio ma teraz konia kasztana, po jakimś moskiewskim dragonie. Pewnie teraz pojedzie do kawalerji!

Pan H. już dwa razy przywoził Francuza i zawsze się doskonale bawimy — ale to uciechy tylko chwilowe, bo ciągle słyhać o bitwach, o okrucieństwach Moskali, a gazety pełne opisów różnych potyczek i bohaterskich czynów naszych powstańców. Już mam całą książeczkę z wypisanymi bitwami i nazwiskami naszych bohaterów.

16. kwietnia.

Dziś był się pożegnać mr. Chabreuil, dostał już nominację na dowódcę i jutro odjeżdża do oddziału Czachowskiego. Pojechał także p. Władysław, czekał na Kazia, ale Kazik jeszcze słaby, a wstyd młodemu człowiekowi siedzieć teraz bezczynnie.

Ot jest i nowina, ojczuś każe nam się zbierać i wracać do domu!

18. kwietnia.

Ni stąd ni zowąd przyjechał Scis S., taki wesoły, nie znać, że jest oficerem — okropnie się śmiał, że go uśmiercili — dobrze mu się śmiać... Nie mógł się naopowiadać co to za wódz ten Chmieliński,

okropnie odważny, mądry, śmiały, a taki surowy, że za niesubordynację śmiercią powstańców swoich każe. Chłopów wiesza, bo oni okropnie zdradzają naszych i wydają w ręce Moskali.

1. maja.

Już tydzień jesteśmy w domu!

5. maja.

Co za okropny wypadek mógł się stać dziś po południu. Nasz mały braciszek Tadzio wyszedł przed dom i bawił się w koniki, trzymając w ręku jakąś chabinę. Naokoło domu pełno rosyjskiego wojska, broń w kozłach, a oni śpiewają i krzyczą. Dwóch sztyldwachów chodzi na straży tuż koło naszego parkanu. Stoję w oknie i patrzę, jak jeden z nich przystaje i woła do małego Tadzia: „Ty malczyk!“ i coś tam jeszcze. Na to malec podnosi chabinę w górę i krzyczy: „Idi precz, ty Moskalu!“ Żołnierz zdejmuje karabin z ramienia z nasadzonym bagnetem i woła groźnie: „Szto? Szto ty gawarisz?!“ Ja stoję w oknie i czuję i wiem, że on Tadzia tym bagnetem przebije, a nie mogę się ruszyć. Nogi wrosły w ziemię. Wtem wypada z domu moja siostra Stefcia, łapie chłopaka i niby ze złości na niego, zaczyna trzepać go po spodenkach. Wbiegła pędem do domu z krzyżącym dzieckiem i drzwi zatrzęsnęła za sobą. O, Stefcia jest dzielna dziewczyna. Odetchnęliśmy — ale czy na długo!

20. maja.

Ledwo jedno złe przeszło z Tadzim, znowu drugie!... Wczoraj przejeżdżał tędy jakiś pułkownik

moskiewski jeszcze dawny znajomy ojczusia i ojczuś zaprosił go na śniadanie. Gdy służąca wносиła tacę, wśliznął się za nią Tadzio, a że ładny chłopczyk i zawsze czyściutko ubrany, więc pułkownik przyciągnął go do siebie, zaczął do niego mówić, wreszcie pyta go, sadzając na kolano: „A co, lubisz mię mały?” — Chłopiec spojrzał chmurnie i powiada: „Nie — ja nie cierpię Moskali!” Moskał zrzucił dziecko z kolan, trzasnął drzwiami i wyszedł, nie chcąc śniadania.

22. maja.

Wczoraj byliśmy z mateczką w Krakowie. Co za nowiny! Już b. m. zginął drugi syn ciotki P. w bitwie pod Kobylanką w oddziale Jeziorańskiego. Myśmy się tak cieszyli tym zwycięstwem, nie wiedząc, że biedny Władzio tam padł. Widzieliśmy jedną panią, co przyjechała z Warszawy; mówiła, że ciotka o śmierci Władzia już wie i jest jak zawsze spokojną tylko podobno całkiem posiwiła.

W Krakowie pełno portretów poety Mieczysława Romanowskiego, który zginął w bitwie. — Taki poeta, delikatny, może i strzelać nie umiał, choć opowiadają, że bił się jak lew.

24. maja.

Dziś taki wesoły dzień, był zawsze dla nas, bo to mateczki urodziny! Zawsze wstajemy w tym dniu przed wschodem słońca, powtarzamy jeszcze powin-szowania i wiążemy bukiety kwiatów. Bo mateczka nadzwyczaj lubi kwiaty i dzień przedtem zbieramy je w lesie, po łąkach, a i w naszym ogrodzie jest

trochę wczesnych. Dziś mateczka się rozplakała i powiedziała, że na każdym kwiatku widać krople krwi i tak zamiast wesołości, jak bywało zwykle, zamiast białych sukienek z niebieskimi szarfami, tośmy przyszły czarno ubrane, smutne — smutkiem całej Polski. Stefcia mi zabroniła pokazywać dziś mateczce gazetę świeżą, bo w niej jest wiadomość o rozstrzelaniu Padlewskiego, i taki jest wstrząsający opis jego śmierci, że i p. Emilia i my obie szlochałyśmy głośno — ale to było w ogrodzie w altanie, więc mateczka nie słyszała. Dziś jej urodziny, i tyle się już naplakała — i o Kaziu nic nie wie, nawet nie wiemy w jakim jest oddziale. Padlewski szedł na śmierć jak prawdziwy bohater, spokojny, pogodny i pełen wiary, że Polska będzie wolna. Oczywiście miałam od łez czerwone i mateczka to spostrzegła i myślała, że Kazio zginął. Przysięgłam jej, że nie i uwierzyła.

Siedząc w altanie okropnie zawałam moją czarną sukienkę, którą dziś na tę uroczystość ubrałam. Spostrzegłszy to zrobiłam tak żałosną minę, że mama może pomyślała, że ja o tę sukienkę płakałam. Ale niech tam, jutro mateczce powiem.

25. maja.

Pani Józ. z L. gdzieśmy mieszkali na wsi zawiadomiła nas, że przyjechał Chabreuil i prosi na wszystko, aby się mógł z nami widzieć i pożegnać.

Poszłyśmy zaraz i przez lasek byłyśmy w pół godziny na miejscu. Chabreuil!... Czy to on naprawdę, ten drobny, delikatny, z kręconymi loczkami nad czołem? Ale gdzieżtam! To jakiś suchy, czarny, opalony jak węgiel powstaniec, z krótko ostrzyżonymi

włosami. Patrzyliśmy na niego zdumione, a on serdeczny jak zawsze, ale taki poważny, taki przejęty wojną, że wzbudzał w nas jakieś uwielbienie. Miał jeszcze dziś przejść granicę z powrotem do swego oddziału, więc nam w krótkości opowiedział o bitwach, w których brał udział, szczególnie w bitwie pod Stefankowem, gdzie za męstwo, został przez Czachowskiego odznaczony. Czuć było, że mówi prawdę, że nie blaguje i przez to robił bardzo sympatyczne wrażenie. Gdyśmy się z nim żegnały, doznałam jakiegoś złego przeczucia — zdaje mi się ten Francuzik dzielny... zginie niedługo — może to też fałszywe przeczucie... Ale najważniejszej rzeczy nie napisałam, że Kazia naszego widział, że jest u Czachowskiego w kawalerji. — Dopiero się mateczka ucieszyła!

W lipcu 1863 r.

Dano znać ojcu, że Kazio chory w Krakowie. Przywieźliśmy go pokryjomu do domu. Powiedział nam, że Chabreuil przed tygodniem zginął, a Kazik biedny przeziębził się i już trzeci dzień leży. Doktor mówi, że silny tyfus, — ciągle śpiewa krakowiaki i ciągle, bezustanku, zaczyna opowiadać o bitwie pod Goszczą i Grochowiskami. Czy tylko nie umrze!

Granica teraz znów obsadzona obieszczykami, co kilkanaście kroków stoi taki kusy Moskał, a niema dnia, żeby nie było słyhać strzałów to bliżej nas, to dalej wzdłuż granicy.

Dawniej to przynosili różne towary i wódkę — ale teraz ojczulek mówi, że to najprędzej broń dla naszych szwarcują. A może tylko tak dla dodania sobie odwagi strzelali, bo oni się Polaków strasznie

boją i nieraz widzimy przez okno, jak całe oddziały tych obieszczyków uciekają co koń wyskoczy i krzyczą: „*Palaki, Palaki, idut!*“ czy jak tam, bo ja nie umiem po rosyjsku.

24. lipca.

Dziś Kazio trochę spokojniejszy, nie rzuca się tak, nie komenderuje na Moskali, tylko śpiewa znów krakowiaki i co trochę rozpoczyna w malignie opowiadanie: „było to 19. marca... i t. d. — bitwa pod Grochowiskami...“ Wczoraj wieczór już był trochę spokojniejszy i myśmy wszyscy cichutko w jadalnym pokoju usiedli koło stołu, a Stefcia nalewała herbatę, nasłuchując co chwila, czy chory śpi, bo ona go najwięcej pielęgnuje — gdy wtem drzwi od sieni po cichu się otwierają i wchodzi ktoś: młody człowiek, jasny blondyn, ubrany w popielatą czamarę. Zbliży się do stołu, wyjmuje jakiś papier z kieszeni i podaje go ojcu. Ojczuś czyta i z jakimś przerażeniem spogląda na niego.

— Pan jesteś żandarm wieszający? — pyta szeptem.

— Tak — odpowiada — i proszę, aby mnie zaraz przeprowadzić przez granicę.

— Panie, czy pan wie, że nie tylko panu grozi śmierć, ale i mnie i całej mojej rodzinie, jeśli pana złapią.

— Wiem o tem, ale to jest rozkaz Rządu narodowego i ja dziś, teraz, zaraz muszę przejść granicę.

Patrzyłam na niego z podziwieniem okropnym i ciekawością, bo tyle, tyleśmy czytali opisów o tych żandarmach, co wieszali zdrajców.

Ja myślałam, że to muszą być ludzie wielkiego wzrostu, okrutni, straszni, a ten, co stał przed nami, był sobie takim miłym blondynkiem, o łagodnym wyrazie twarzy, tylko z oczu jakieś iskry mu się sy-
pały, gdy nas obrzucił wejrzeniem.

Mateczka dała znak Stefci, aby mu podała herbatę, i szepnęła: „Usiądź pan — odpocznij“, ale nie chciał, tylko patrzył na ojczulka tymi stalowymi oczami, jakby rozkazywał, lub groził. P. Emilia coś szepnęła mamie, a mama mówi: „Dziewczęta pójdą spacerem ku granicy i odprowadzą pana“.

Ale ojczulek zaprzeczył głową, wstał, wziął czapkę i kazał mu iść za sobą. Ten papier leżał na stole i ja zajrzałam do niego. Boże! Co za okropny papier! czarna trupia główka, potem jakieś nazwisko, a pod wielkimi literami „Żandarm wieszający!“ i jeszcze coś pisane, ale mi się w oczach zaćmiło i nie mogłam przeczytać... Ojczulek powiedział „zostaw pan ten papier, bo jak złapią, to wyrok śmierci na pana“. Ale on się dziwnie jakoś uśmiechnął i rzekł: „mam ją i inne ważniejsze papiery przy sobie, a na śmierć jestem przygotowany“. Sięgnął po ten straszny papier, schował go, uklonił nam się i wyszedł za ojcem. Przycisnęłyśmy się wszystkie do mateczki — zaległa cisza grobowa, tylko słychać było z drugiego pokoju ciężki oddech chorego. Żadna ze służących nie wchodziła do pokoju, bo wiedziały, że trzeba być cicho, bo chory panicz zasnął, a myśmy tak stały bez ruchu, pewnie jakie pół godziny, choć mnie się zdawało, że to wieki całe!

Naraz rozległ się strzał — jeden — drugi — trzeci — i mateczka i my trzy padłyśmy na kolana,

wznosząc ręce do Boga. W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł cicho ojczulek bardzo blady, ale spokojny. Żadna z nas nie miała siły zapytać, aż ojczulek sam nas uspokoił siadając ciężko na fotelu:

— Nie bójcie się, on już bezpieczny za granicą.

— Ale strzały? — pytała mateczka.

— Strzelają, jak zwykle, do jakiejś kontrabandy, albo ze strachu.

— A więc to były dalekie strzały, a nam się zdawało, że tuż nad głową strzelają! Otoczyliśmy ojczulka, a on nam opowiedział jak to było. — Wzdłuż granicy biegnie szosa, a tuż za szosą, stoi rząd chat wiejskich z ogrodami, już po austriackiej stronie. Po tej stronie szosy, na naszej stronie stoi budka, gdzie w dniach targowych sprzedają mięso. Doszedłszy do szosy, ojczulek kazał tam żandarmowi wejść do tej budki i uważać. Skoro ojciec zagadawszy do żołnierza na warcie, obróci się z nim tyłem, niech skoczy przez szosę i dopadnie podwórka najbliższej z chat. Tak się też na szczęście stało! Noc była śliczna, pogodna, jasna. Ojczuś, niby idąc na spacer zaczął żołnierza na warcie, ten zsalutował i bezwiednie dał się prowadzić kilkanaście kroków od budki. Żandarm miał dość czasu przebieść szosę i wskoczyć do najbliższej chaty czy podwórka, a tam jest już bezpieczny. Ojczulek poszedł kawałek szosą niby na spacer, a będąc już przy domu z powrotem, usłyszał strzały, które nas tak okropnie przeraziły...

(Tu zaginęły kartki).

...Czy kto kiedy słyszał, żeby księdza wieszać!
A oni powiesili zacnego, drogiego księdza Mackie-

wicza! Kara boska musi ich za to spotkać! Powstanie nie upada, nasi się dzielnie biją — tylko niewiem dlaczego ani Anglia, ani Napoleon nie przychodzą z pomocą.

Dowiedzieliśmy się, że bratanek ojczulka zginął w powstaniu, a drugiego rozstrzelali, bo był oficerem w wojsku moskiewskim przed powstaniem. Drugiego brata syn, nasz stryjeczny brat Feliks, zesłany na Sybir. Kazia chce mama wywieźć i ukryć przed Moskalami — żeby tylko ta gorączka straszna ustąpiła!... Dobrze, że mamy poczciwe sługi, że nie zdradzają nas przed Moskalami...

PIERWSZY MAZUR Z A. GROTTEREM

Dziwna jest różnica pomiędzy nami, a panną Zofią Romanowiczówną, srebrnowłosą marzycielką, zabłąkaną w czasy nowe z dawnych lat. Dla nas ten Grottger jest już mitem i pojęciem literackim, dla niej był żywym — bardzo żywym nawet mazurzystą! Nam wydaje się twórca „Lituanii“ pewną sumą barw i wzruszeń, jej wydał się — wtedy naturalnie — miłym, dobrze ułożonym młodzieńcem. Ale niezbyt zajmującym, bo — kochała innego. Uproszona przez nas autorka nakreśliła ten drobiazg miłutki, to zapisane w karnecie wspomnienie balowe z przed pół wieku, które niechaj zakończy wiązankę dziewczęcych opowieści.

... Powstanie zgasło. Lecz jak ogon komety wlokły się za nim rozmaite niedole i udręki; więzienia były pełne, pełne fortece, często brzęczały kajdany, bo za najmniejsze przestępstwo ich zakuwano; były liczne kalectwa, bieda; wielu uszło za granicę, szczególnie ci, którym udało się ucieczką wyrwać z więzienia, a tam wszyscy, z wyjątkiem bardzo mądrych, cierpieli niedostatek, niektórzy nawet skrajną nędzę; bo i o pracę nie było łatwo obcym przybyłym. A w kraju niepokojono się o nich, martwiono, serca wędły w tęsknocie... Trwała jeszcze narodowa żaloba, już piąty rok; były wprawdzie osoby o chło-

dniejszej duszy, płytszym umyśle, którym wydawała się już za długą, więc ją zrzuciły; były domy, które już w karnawale 1865 dawały wieczory tańczące, ale domy nieliczne spotykały się w całym Lwowie z ogólną niechęcią i potępieniem, jeżeli nie pogardą. Jednak kiedyś przecie tej świętej, ogromnej manifestacji żałobnej, temu długiemu samozaparciu jakiś kres być musiał — cóż na ziemi jest bez końca! Młodym należał się nareszcie uśmiech życia. Co było głębsze i subtelniejsze czekało tylko hasła, a właściwie powodu do uśmiechów, do zrzucenia kiru. Tym hasłem stała się ogłoszona 18-go listopada w dzień imienin cesarzowej Elżbiety, ogólna amnestja. Ach! jaka to była radość, jak dziwnie piękna i słodka chwila! Wracali nasi ukochani, kończyły się ich udręczenia, wzajemne tęsknoty; ściśnione, zbolełe serca odetchnęły, zaczynało się nowe życie, bo przecież ci, cò wracali, odzyskiwali nie tylko swoje ukochania, nie tylko swobodę, ale i możliwość ruchu i pracy, tej najistotniejszej życiowej wartości.

Pamiętam żywo pierwsze, po blisko pięciu latach tańce. W domu państwa Teodorowiczów w święto Matki Boskiej 8-go grudnia 1866, zebrało się dość liczne grono przyjaciół i znajomych; suknie już nie były czarne, a kto nie miał kolorowej, przystrajał czarną i włosy barwnymi wstążkami lub kwiatami. Ja tańczyć nie chciałam. Dziwnaż-bo ja, dziwną byłam dziewczyną! Wrażliwa jak mimoza, w uczuciach przepastnie głęboka, z największą trudnością zaledwie zdołałam wyrwać się czemuś, w co dusza wrosła. I teraz... Jak to, tak prędko, na poczekaniu włożyć kolory i skakać? wszak walka przegrana, Polska na-

dal w niewoli, „on” na obczyźnie, a jeszcze przytem adwent. Ale przedewszystkiem tak trudno rozstać się z tą „czarną sukienką“. Parę miesięcy przedtem dostałam pocztą wiersz do mnie, od człowieka, którego nawet nie znałam, okaleczalego w powstaniu Ksawerego Gebhardta — między innymi były tam słowa: „Ty tylko jedna chodzisz w żałobie, łzami zalane patrzają twe oczy“. Tak było. Więc nie tańczyłam, ale nie nudziłam się wcale, bo i wciąż rozmawiałam i choć tak jeszcze młoda, z przyjemnością patrzyłam jak drudzy się bawią, zwłaszcza gorąco i czule, po macierzyńsku, choć tylko o półtora roku od niego starsza, cieszyłam się wesołością mego drogiego brata, dopiero co więźnia, dziś z werwą wycinającego hołupce.

Ale długo tak trwać nie mogło. Ci co mnie kochali, nalegali serdecznie, żebym zrzuciła już raz żałobę i zaczęła się bawić; przedewszystkiem pragnęła tego biedna moja matka, z bolem serca patrząca na mój smutek, trudny do ukrycia. Dla niej to zrobiłam jedynie, że po walce z sobą samą, w Święta Bożego Narodzenia poszłam na wieczorek u krewnych w jasnej sukni i choć z niechęcią i przymusem, tańczyłam.

W karnawał już się to powtórzyło kilka razy, a punktem kulminacyjnym, najświetniejszą z zabaw, był wielki wieczór tańczący, właściwie już bal w całym znaczeniu wyrazu, u pani Maciejowej Kunaszowskiej z Kuleszówki. Piękny salon, rześciste oświetlenie, doskonała muzyka i dobrane towarzystwo, a szczególnie gościnność i wielka uprzejmość pani domu — wszak to wszystko co stanowi warunki przyjemnej zabawy. No, a najważniejszą rzeczą było

to, że żadna panna czy mężatka, choćby najstarsza, najbrzydsza, najnudniejsza, najgorzej tańcząca, nie potrzebowała obawiać się „sprzedawania pietruszki“, tak bardzo przeważną była ilość danserów. To też kiedy z matką wchodziłam w mojej lekkiej, białej sukience, przystrojonej, równie jak włosy, gałązkami błękitnych powoju, do wiotkiego kwiatu zleciał się w mgnieniu oka rój motyli. Jeszcze przed progiem salonu musiałam porozdawać wszystkie tańce.

Wśród motyli był Artur Grotter.

— Czy mogę prosić o pierwszego mazura?

Skinęłam głową z uśmiechem zadowolenia. Mazur był przyjemny. Genialny artysta, wtedy stojący już prawie u szczytu chwały, był oraz wykwintnym salonowcem. Powierzchność jego robiła bardzo sympatyczne wrażenie. Któż w Polsce nie zna tych rysów? Ale piękniały one w ożywieniu, a szczególnie miłym był uśmiech, lekko sarkastyczny, bardziej może figlarny, łagodny i ujmujący. Tego nam nie dają portrety, to trzeba było widzieć. Był bardzo żywy, ułożenie, ruchy miał ładne, a bardzo naturalne i obok elegancji swobodne. Więcej nie potrafię powiedzieć. Jak był ubrany? Nie wiem, ani jak długo bawił na tym wieczrze. Są chwile w życiu każdej młodej dziewczyny, w których jakiś „on“ cały świat jej sobą zasłania, tak iż prawie nic i nikogo nie widzi, nie uważa, patrzy jak przez mgłę. Zdaje mi się, że wtedy nie odczuwałam nawet żywiej tego z kim tańczyłam i rozmawiałam, i dopiero później, znacznie później, potrafiłam to ocenić.

Wśród mazura rozmawialiśmy wiele, a najwięcej o tej, która od kilku czy kilkunastu dni była panią

jego myśli i serca, o pięknej Wandzie Monné. Poznał ją na balu publicznym i odrazu się zakochał, oczarowany jej cudną urodą i niepospolitym umysłem. I ja ją znałam, była moją koleżanką w szkole muzycznej panny Wilczopolskiej, więc rozmowa płynęła łatwo i miło. Wkrótce potem była już jego narzeczoną.

Będąc małym dzieckiem, znałam Grottgera chłopaka, wyrostka, a lepiej jego młodszych braci, Olesia i Jarusia, bo rodzina ich mieszkała, jak my, w gmachu teatralnym i odwiedzaliśmy się czasem. Ale to było przelotne, on był już za mądry dla nas i nie zostało mi stąd żadne wspomnienie. Drugi raz w życiu spotkałam się z nim na parę miesięcy przed owym bale; był nawet w naszym domu. Zdaje mi się, że w lecie 1865 r. przyszedł do nas profesor techniki, ś. p. Karol Maszkowski, z prośbą żeby mógł robić moje popiersie. Dotąd oddawał się malarstwu, teraz próbuje rzeźby, a popiersie chce dać na wystawę sztuki w Krakowie, poczem zostanie naszą własnością. Zgodziłyśmy się, zastrzegłszy sobie tylko, że nie będzie tam nazwiska. W jesieni, gdy robota była już prawie gotowa, przyjechał do Lwowa Grottger, a Maszkowski, żyjący z nim w przyjaźni, poprosił, żeby przyszedł rzeźbę zobaczyć i osądzić. Wiem, że znalazł podobieństwo; co więcej powiedział, nie pamiętam, ale z miłym uczuciem i z dumą myślę o tem, że Artur Grottger był w naszym domu.

Lwów, w kwietniu 1920.



OBJAŚNIENIA.

1. Listy Honoraty Stempkowskiej do Marcina Lubomirskiego znajdują się w rękopisie Bibl. Ord. Krasińskich w Warszawie nr. 4151.

2. Portret własny ks. Izabelli Czartoryskiej ogłosił z rękopisu w przekładzie polskim Bronisław Zaleski w dziele: „Życie ks. Adama Czartoryskiego“ (Poznań 1881. t. III.).

3. Pamiętniki Anny Potockiej, z których wyjęto opowieść 3-cią, ukazały się po raz pierwszy w Paryżu w oryginale francuskim w r. 1897. Następnie przełożono je na język niemiecki i polski (w „Bibliotece dzieł wyborowych“, Warszawa, 1898, z przedmową Piotra Chmielowskiego).

4. Historję Antoniny Puzynianki spisał wedle jej opowiadań Lucjan Siemiński około r. 1840 i ogłosił drukiem w „Noworoczniku demokratycznym“ (Paryż 1842) p. t.: „Panna Antonina P... czyli wejście Austrjaków do Lwowa“. Rękopis opowieści znajduje się w archiwum ks. Puzynów w Gwoźdźcu (por. Dr. B. Pawłowski, Lwów, w r. 1809. Biblioteka lwowska, tom III. str. 73). Korzystaliśmy z kopji współczesnej tego rękopisu.

5. Dzienniczek Zofji z Matuszewiczów Kicckiej wydała w starannem opracowaniu i przekładzie z francuskiego p. Teresa Wodzicka w „Przeglądzie Polskim“ 1910 i osobnej odbite p. t. „Ze zwierzeń dziewczęcych“.

6. Pamiętniki Bogusławy z Dąbrowskich Mańkowskiej wyszły drukiem w Poznaniu w r. 1880, zes. 1—4.

7. Listy Ewuni Ankwiczówny wyjęliśmy z pracy ks. Jana Siemińskiego p. t. „Ewunia“, Lwów 1888.

8. Ustęp ze wspomnień Deoty my przytoczony na podstawie jej „Pamiętników“, drukowanych w „Bibliotece warszawskiej“ w r. 1910.

9. Pamiętniki Heleny Modrzejewskiej ukazały się drukiem w r. 1910 w Nowym Jorku p. t. „Memories and impressions of Helena Modjewska an autobiography“. Neu York. The Macmillan company, 1910.

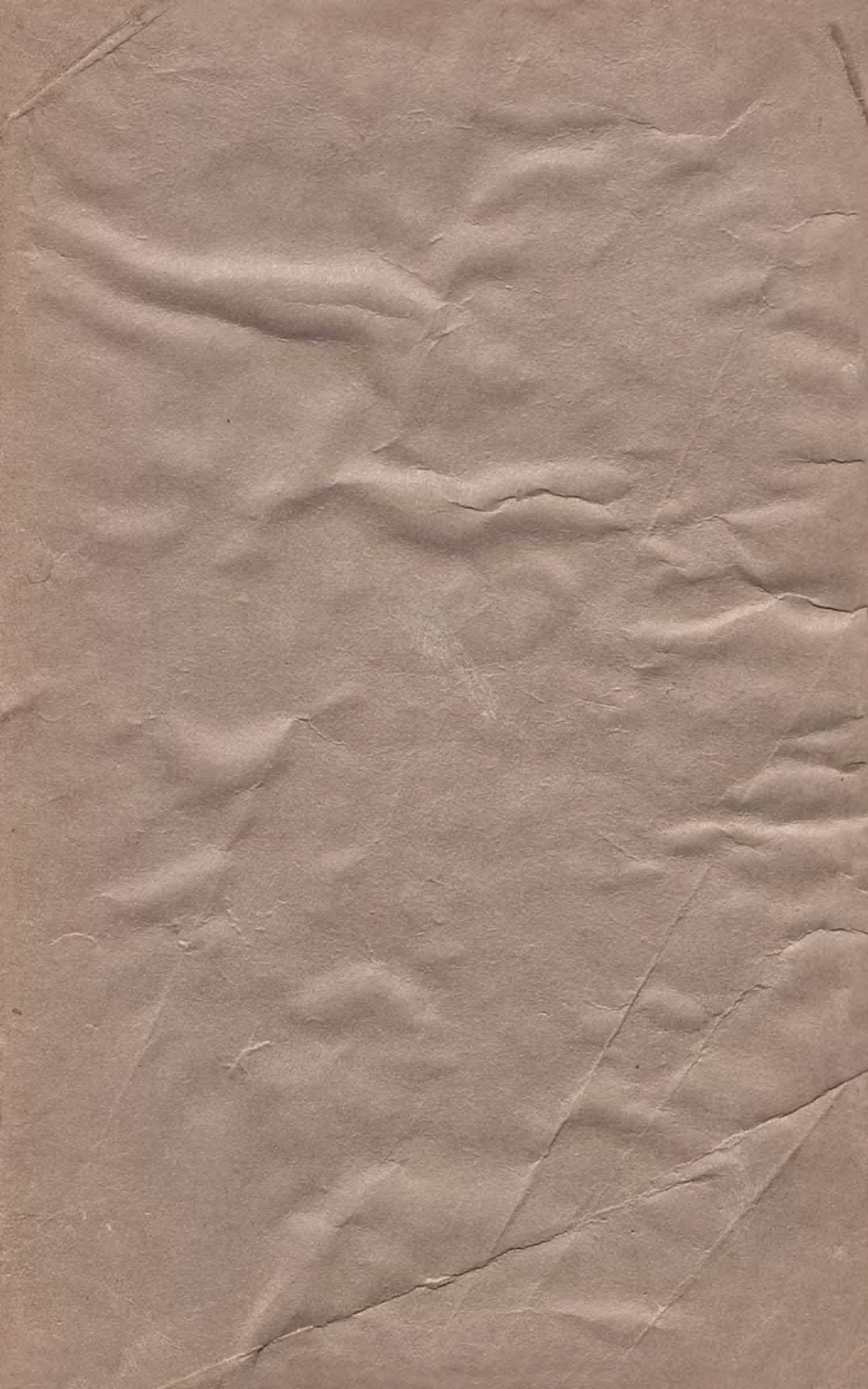
10. Pamiętniczek styczniowego dziewczątka udzielony nam łaskawie przez autorkę p. Paulinę ze Stamirowskich Konarzewską.

11. Ustęp udzielony wydawcy z przygotowanych do druku przez p. Zofję Romanowiczównę wspomnień z jej życia.

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Przedmowa wydawcy	V
2. Wojewodzianka miłuje i tęskni...	VII
3. Jaką jestem, czyli portret sawantki	9
4. Siostrzenica Ks. Józefa wychodzi za mąż	17
5. O tem, jak Antonina Puzynianka urwała głowę austryj- kiemu orłu	27
6. Z dzienniczka zakochanej	43
7. Podlotek wśród poetów i oficerów	65
8. Liściki do pana Mickiewicza	99
9. Deotyma improwizuje!	109
10. Dzieciństwo wielkiej artystki	125
11. Styczniowe dziewczątko	141
12. Pierwszy mazur z Arturem Grottgerem	175

49



10/52

7



AD-40379

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-40379



001-0048279-00